

1 -
STANISŁAWA OKOŁOWICZÓWNA

=

ROBINSONEK

I INNE POWIASTKI
DLA MŁODSZYCH DZIECI

Z 14 RYSUNKAMI

WYDANIE DRUGIE



NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ
POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE

BIBLIOTEKA
BN
NARODOWA

I 1.463.001



Zakłady Drukarskie F. Wyszynskiego i S-ki, Warszawa, Zgoda 5.

1984 K 1369/66

ROBINSONEK
ALBO PRZYGODY PIĘCIU LALEK.

I.

Ogromna wrzawa panuje w dziecinnym pokoju.

„Uu — u — u“ — płacze Nacia — uu — uu!

Braciszek jej Witek stoi nad nią i stara się perswadować.

— Idź sobie, nie chcę!... tyś wszystkiemu winien! — odpowiada zdesperowana dziewczynka i odtrąca brata. — O ja nieszczęśliwa! Biedny, biedny Robinsonku! gdzie jesteś!..., Uu — u — u!...

Że Witek wszystkiemu winien, mówią też i lalki i wszystkie zabawki Naci i Witka.

— Jak on śmiał wziąć naszego Robinsonka! — krzyczy gniewnym głosem generał Trumbum.

— Tembardziej, że to zabawka była nie jego — dodaje mała księżniczka Lola.

— Ach, ten Witek! — woła, załamując rączki, laleczka Klapsia.

— Nieznośny chłopak! — cieniutkim głosem piszczy mała laleczka, Chińczyk Chi-cha-cha.

— Tego Witka to należałoby za to postawić do kąta przynajmniej na cały rok — mówi z oburzeniem zwykle bardzo wesoła lalka, zwana Drewnienko, bo cała jest z drzewa.

Tak rozmawiają lalki. Właścicielka ich, Nacia, wciąż zanosi się od płaczu, a Witek, sam zapłakany i smutny, stoi obok siostry i, jak może, tak ją pociesza.



II.

CO SIĘ STAŁO.

Co się stało?... Posłuchajcie, opowiem jak było. Witek dostał balonik. Duży, prześliczny, czerwony. Co za uciecha! Chłopczyk chciał radość ze swą siostrzyczką podzielić, więc wpada do dziecinnego pokoju. Ale Naci tu niema, siedzą tylko jej lalki. Witek chwyta jedną z nich, najbardziej ulubionego Robinsonka, w płaszczu z traw morskich i z małym parasolikiem w ręku, i powiada:

— Patrz, Robinsonku, jaki śliczny mam balonik.

Robinsonek ani się uśmiechnął, nic go to nie obchodziło.

— Co? nie cieszysz się? — powiada Witek. — Poczekaj, przywiążę cię do baloniku, to sobie polatasz trochę po pokoju. — Mówiąc to, Witek okręca nitkę balonika wokół szyi małej laleczki, przywiązuje mocno i puszcza z rąk.

Balonik równo i spokojnie podnosi się w górę, unosząc z sobą laleczkę i jest już blisko sufitu.

— Ach! — jęczy cicho przerażona laleczka Klapsia.

— Ojej! ojej! — lamentuje lalka, księżniczka Lola.

— Niemądre żarty! — mruczy zagniewany generał Trum-Bum.

Gdy wtem!... drzwi się otwierają, staje w nich Nacia.

W pokoju robi się przeciąg. Wiatr porywa balonik i unosi go przez otwarte okno z dziecinnego pokoju na ogród.

— Aaa! — krzyknął Witek.

— Robinsonek! mój Robinsonek! — woła z płaczem Nacia.

Balonik, wydostawszy się na powietrze, pły-

nie coraz wyżej, unosząc Robinsonka w płaszczu z traw morskich i pod parasolem.



III.

KTO ON.



Robinsonek, była to śliczna maleńka laleczka, której podobiznę widzicie tu na obrazku.

Śliczna buzia porcelanowa, także rączki i nóżki, a tak urządzone, że można je było jak się chciało wykręcać, opuszczać i podnosić. Laleczka mogła klęczeć, stać i siedzieć, a główkę jej można było przechylać na różne strony.

Robinsonek był oklejony białem, jak kotek, puszystym futerkiem i białą miał na głowie czapeczkę, a w ręku parasolik.

Witek i Nacia mówili, że Robinsonek ich ma płaszcz z trawy morskiej i najwięcej szanowali tę zabawkę, bo była bardzo milutka.



WIELKA NARADA.

Tejże nocy w dzieciennym pokoju zebrały się wszystkie zabawki Naci i Witka na naradę. A było tego sporo: razem wszystkiego ze czterdzieści sztuk...

— Panowie! — zawołał wojak Trum-Bum — panowie! musimy wyruszyć na poszukiwanie Robinsonka. Jestem pewien, że mu tam smutno wśród obcych!...

— Tak! — pisnęła rozczulona Klapsia.



— Ja pójdę z chęcią — odezwał się Chińczyk Chi-cha-cha.

— Trzeba się śpieszyć i pędzić na łeb, na szyję! — krzyknął, zapalając się do czynu wesóły Drewienko, a za nim powtórzyła księżniczka Lola : „Tak! tak!“

— Reszta zebranych milczała.

Tekturowy osiołek kiwał tylko głową to na dół, to w górę, mały zajaczek uderzał w talerzyki blaszane, które trzymał przednimi łapkami. Pajac wykręcał na wszystkie strony rękami i nogami, co nie miało żadnego sensu, a żołnierze na koniach siedzieli milczący i ani się poruszyli nawet.

Milczała zawzięcie cała gromada lalek, ale tym się nie dziwię: zamiast usteczek kreskę tylko miały namalowaną czerwoną, więc buzi nawet otworzyć nie mogły.

— Rycerze! — wrzasnął Trum-Bum, zwracając się do żołnierzy na koniach — idziemy ocalić Robinsonka!

Ale żołnierze nie zgodzili się.

— Na dworze rosa jest, wilgoć — tłumaczyli — rozmiękną nasze mundury i czapki i coś będziemy wtedy warci?

— Przyjaciele! — zawołał żalonym głosem Trum-Bum. — Więc tylko pięcioro nas idzie na wyprawę? Czyż więc nikt już nie pójdzie, aby Robinsonkowi dopomóc?...

Ale nikt nowy nie odezwał się.



Niewiele upłynęło czasu, a już pięcioro podróżnych wybrało się w drogę.

Na przedzie szedł, podskakując, wesół Drewnienko, za nim cała gromada różnych lalek, które postanowiły podróżnych do drzwi przeprowadzić. Wszyscy byli smutni. Przy pożegnaniu zajączek zanosił się od płaczu, inni też popłakiwali. Osieł bez wypoczynku głową poruszał to w górę, to na dół.



— Żegnajcie! — wołał Drewnienko, machając kapeluszem. — Nie płacz, zajączku, my wrócimy i razem z nami nasz kochany Robinsonek! Żegnajcie!

Tak rozpoczęła się ta wielka wyprawa pięciu lalek.

Gdy Nacia weszła po chwili do pokoju, zauważyła, że niema jej najmilszych lalek: Klapsi,

Chińczyka, księżniczki Loli, generała Trum-Bum i wesołego Drewienki nie było.

— Ach, gdzie się one podziały?!... — zawołała dziewczynka i zaczęła znów płakać.

Pozostałe lalki milczały. Nie mogły przecie zdradzić wielkiej tajemnicy.



VI.

POCZĄTEK WYPRAWY.

Ludzie śpią, i cisza jest wokoło. Trum-Bum idzie na czele, za nim postępuje reszta odważnych.

Wtem... — Ze schodów na dół! raz dwa, trzy! — zakomenderował generał.

— Trrr—rr—trach! i klap! Wszystkie lalki spadają na dół, wywijając kozły i objając się o stopnie schodów.

— Uj! uj! uj! — jęczy Klapsia — oderwało mi się lewe ucho!

— Na co ci ono?... niepotrzebne! — perswaduje wesoły Drewienko.

— Stłukłem sobie kolano — skarży się Chińczyk, i o mało nie wypadł mi gwoździak, na którym trzyma się prawa noga.

Księżniczka Lola jest cała z nietłukącej się masy, nic się jej więc złego nie stało.

Najlepiej jednak wyszedł z tej przygody Trum-Bum. Ten nawet guza sobie nie nabił, gdyż całe ciało i głowę, a nawet twarz, miał obszyte skórą zamszową, taką, jak czasem widzicie na rękawiczkach. Na niej wymalowane były rumieńce. Skóra była gruba i miękka, co zauważyła myszka, która przebiegała tędy, szukając pożywienia.

— Gdy się jeść chce, wybredzać nie można — rzekła, wzdychając, i, obwąchawszy pana generała, szykowała się, aby ząbki w niego wsadzić.

-- Szlachetna osobo, zlituj się! — jęknął Trum-Bum zrozpaczony. — Wyruszyliśmy, aby ocalić naszego przyjaciela. Nie rusz mnie, gdy powrócimy z nim razem, przyjdę sam do ciebie i wtedy zjesz mię całego. Czy dobrze?—spytał.

— Kiedy to tam będzie? — odparła mysz, uśmiechając się — mnie się jeść chce teraz. Ale! ale! — dodała po chwili. — A z czego zrobiony jest wasz przyjaciel?

— Z porcelany — odpowiedział cichutko generał.

— No widzisz — zaczęła mysz i chciała dalej coś mówić, gdy wtem... jak nie piśnie, jak nie rzuci się!... Pomknęła, jak szalona. Lalki zamarły z przestachu.

Przed niemi stało straszne, kosmate zwierzę.

— Tygrys! szepnął drżącym głosem Drewnienko.

— Nie. Tygrys stoi w dzieciennym pokoju i nie drgnie, a to porusza się.

— To pewno słoń — mówi Chińczyk.

— Ależ nie — tłumaczy Klapsia — przecież słoń ma trąbę, i tak jak osieł, wciąż porusza głową to na dół, to w górę.

— Przyjrzałem mu się dobrze, przecie stał przy mnie w naszym pokoju.

— Co robić? — pyta rosyjski generał — kto wie, czy to nie jest równie niebezpieczny wróg, jak ten, którego mieliśmy przed chwilą, zdaje mi się, że jesteśmy zgubieni!

W tej chwili straszne zwierzę dojrzało mysz i puściło się za nią w pogoń.



— Naprzód za mną! — krzyknął odważnie Trum-Bum, uciekając w przeciwną stronę. Za nim podążyła cała gromadka, wszyscy biegli, ile

sił starczyło. Nagle Drewienko obejrzał się, przyskoczył i wycelował do uciekającego kota. Laseczka, którą trzymał, nie wystrzeliła, ale wróg był i tak już pokonany, więc się Drewienko przyłączył do uciekających i biegł dalej z nimi.

Taki był początek tej wielkiej wyprawy.



VII

NOWA WALKA Z WROGIEM.

Pewno sądzicie, że nasi podróżni uszli już ogromny kawał drogi? Otóż nie. Błądzili oni wciąż po ogrodzie, który otaczał ich dom, i byli zaledwie o kilka kroków od parkanu.

— Naprzód! — krzyknął generał Trum-Bum, ale w tejże chwili zbladł i zawołał:

— Odwrót!

Cofać się wszakże było już zapóźno. Z poza parkanu wyszło zwierzę straszne: czarne, kosmate, z błyszczącymi oczyma, i wielkim, do góry podniesionym ogonem.

— Panie straszdyło — drżącym głosem przemówił Trum-Bum — panie straszdyło! ty jesteś dobry, i nie nam złego nie zrobisz, wszak prawda?

Straszne zwierzę mruknęło coś niezrozu-

miale. Jenerałowi zdawało się, że pyta, z czego oni są zrobieni.



— Z drzewa, panie straszycie, z gałganów jesteśmy, z porcelany, z czego kto może — tłumaczył Trum-Bum pośpiesznie.

— To czegoż lezicie mi w drogę?! kto wam pozwolił...

— Pff... mrr... mr... miau!...

To „Miau... u... u...“ rozległo się okrutnie groźnym głosem.

Od tego głosu aż zaszumiało coś w trawie, i zimny dreszcz przebiegł po skórze naszych pięciu lalek; ze strachu puściły się pędem, jak

szalone, i wkrótce wśród wieczornych cieniów widać było migające ich piętki i słycać tylko cichy szelest trawy i energiczną komendę dzielnego generała.

— Naprzód, bracia!... żywo!... marsz!...
Tak został drugi nieprzyjaciel odparty.



VIII.

WAŻNA NOWINA.

Nadeszła noc. Na niebo wypłynął księżyc. Zły okropnie, czerwony cały... Ale jakże być dobrym, kiedy co noc, zamiast spać smacznie,



trzeba wciąż chodzić po niebie i patrzeć ciągle, co się dzieje na ziemi. Czasem zbraknie cierpliwości.

Oświetleni blaskiem księżycyca biegli nasi podróżni z górki i wpadli na całą gromadę grzybów.

Trum-Bum, cofając się ostrożnie, zapytał jednego z nich:

— Panie!... hm... tego... czy wy nie kásacie, nie gryziecie?

— Ach, nie — odpowiedziały grzyby, wzdychając — ale nas często gryzą różne stworzenia!

— Hm, to bardzo pięknie — odrzekł Trum-Bum i w tej chwili wy dobył szablę, wyprostował się i, postępując naprzód, krzyknął strasznym głosem:

— Stać w miejscu!... nie ruszać się!... Kto jesteście?... co za jedni?

— Jesteśmy grzyby.

— Aha!... — mruknął Trum-Bum, chociaż zupełnie nie wiedział, co to takiego grzyby.

A grzyby tymczasem zupełnie spokojnie pytają:

— A czyście wy nie krewni takich, co to latają w powietrzu, zawieszeni na sznurku pod czerwonym balonem. Myśmy takiego niedawno widzieli.

— Powiadacie, że krewniak nasz przelatywał pod czerwonym balonikiem? — z powagą zapytał Trum-Bum.

— Tak, pod kulą okrągłą czerwoną, jak księżyc, kiedy wschodzi—odpowiedziały grzyby.

— Bracia — krzyknął uradowany Trum-Bum, który natychmiast domyślił się, że grzyby Robinsonka widziały. — Bracia! Brawo! Robinsonek odnaleziony... — Brawo... — wołał i tak się szybko obrócił, że pchnął Chińczyka, a Chińczyk pchnął Klapsię, a Klapsia księżniczkę Lolę, a Lola wpadła na Drewienko, i wszyscy poupadali. Nikt przecie nie obraził się za to. Wszyscy byli uszczęśliwieni, że znaleźli nareszcie Robinsonka.

— Gdzie on? gdzie?... — pytały lalki.

— Hm!... — odpowiedział Trum-Bum.—Właściwie on jeszcze nie jest odnaleziony. Ale znajdziemy go zaraz. Niech tylko wypytam o to grzyby. One napewno wszystko wiedzą.



IX.

W KTÓRĄ STRONĘ?

Okazało się jednak, że grzyby nic a nic nie wiedziały. Im opowiedział ślimak, a ślimakowi opowiadała jaszczurka, a jaszczurce wróbel i tak dalej.

Żeby więc dowiedzieć się, jak to było, trzeba chyba wypytać wszystkie żaby, zebrać

wszystkie wróble, wylapać wszystkie ślimaki...
a to, sami rozumiecie, że jest niemożliwe.

Trum-Bum złościł się okropnie...

— Powiedzcie mi chociaż, w którą stronę
poleciał balonik — pytał zniecierpliwiony.

Grzyby nie nie wiedziały. Niektóre mówiły
„tam“, ale gdzie było „tam“ nikt nie wiedział.

— Gapy! mruknął Trum-Bum. — Chodźmy
w dalszą drogę. Pewien jestem, że dobrze was
prowadzę.

Doszli do jakiegoś słupa.



— Drewniko, chłopcze serdeczny! — mówi
Trum-Bum, wejdź na ten słup i przeczytaj, co

tam napisane. Zaraz dowiemy się napewno, w którą mamy iść stronę.

Drewienko szybko wdrapał się aż do tablicy, przybitej na słupie, i przeczytał głośno wyraźnie:

— Droga w tę stronę! Droga w tamtą stronę!

— Co takiego?... — zapytała Klapsia.

— Ja nic nie rozumiem — rzekła Lola.

— Ja również nic nie rozumiem — mruknął Chińczyk.

— Panowie — rzekł zniecierpliwionym głosem Trum-Bum — wasza bezmyślność doprowadza mię do rozpacz! Wy nic nie rozumiecie! Wy niczego nie chcecie zrozumieć! Nie chcecie mi w niczem doradzić, i to właśnie wtedy, kiedy ja sam nic nie rozumiem. Wszystko to robicie mi na złość! Tak, na złość! — powtórzył Trum-Bum — nachmurzył się i był taki zły, że aż patrzeć na niego było nieprzyjemnie.

Po chwili dopiero zdobył się na odwagę Chińczyk i rzekł:

— Panie jenerale! — Już wiem, co trzeba zrobić: idźmy i nie w tę stronę, i nie w tamtą.

— I ja tak myślałem — rzekł Trum-Bum. — Ale jak ty zamierzasz to zrobić?

Chińczyk zamyślił się a tymczasem, księżniczka Lola i Klapsia, zmęczone okropnie długą podróżą, wykrzyknęły:

— Brawo, Chińczyku, brawo, zostańmy tutaj i wypocznijmy!

Wszyscy się zgodzili i wkrótce na zielonej trawie słyhać było lekkie sapanie Loli, Klapsi i Chińczyka.

Zmęczeni podróżni spali bardzo mocno.



X.

PRZYGODA Z JEŻEM.

Nie spał tylko Trum-Bum. Czuwał na straży, jak przystało na rycerza.

I dobrze się stało, bo wyobraźcie sobie, że niedużo czasu upłynęło, a tu coś obok szeleści i słyhać wyraźnie: Pf... pf!...

Trum-Bum zrywa się na równe nogi, patrzy... przed nim stoi strach jakiś, pokryty kolcami. Na kolcach sterczą jabłka rajskie. Strach wytrzeszczył oczy i wciąż powtarza — pf... ph, i patrzy na naszego generała.

Trum-Bum, choć trzęsie się, jak galaretką, ze strachu, zapytuje go uprzejmym głosem:

— Co chcesz przez to powiedzieć, panie straszdyło, co znaczy to „pf... pf!“...

— Kto jesteś i kto twoi towarzysze? — zapiszczał jeź. — I dodał: — Widzę, żeście nie żaby i nie grzyby i nie węże, bo tych zjadam codziennie na obiad.

— Jestem lalką — jęknął zdesperowany Trum-Bum.

— Lalka? — zapytał jeź. — Hm, takiej potrawy nigdy nie jadalem. Pozwól, że ci kawałek nogi nadgryzę.

— O nie, nie — jęczy boleśnie Trum-Bum. — Noga jest mi potrzebna, potrzebne mi są obie nogi. Nie mogę, nie... Idę..., idziemy szukać naszego przyjaciela, który poleciał z balonikiem... Och, gdzież ten Robinsonek!... to był taki miły chłopiec..! — bełkotal Trum-Bum.

— Chłopiec? — spytał, spoglądając z obawą, jeź. — Okropnie boję się chłopaków!... — I chciał już odejść. Ale Trum-Bum odważnie zastąpił mu drogę i rzekł:

— Widzisz, ja jestem także chłopakiem. Właściwie niezupełnie, ale jestem zabawką u człowieka, a jeśli zechcę, to krzyknę, a zaraz prawdziwy człowiek przybiegnie — mówił Trum-Bum — a jak zechcę, to i dwóch i pięciu i stu ludzi tu przybiegnie.

— Bądź zdrów — rzekł język — śpieszy mi się w drogę.

— Nie! — rzekł Trum-Bum — poczekaj! I, podnosząc szablę w górę, dodał rozkazującym głosem:

— Stój!... łapki w górę!... nie drgnij i mów prawdę!



Potem łagodniejszym głosem objaśnił, jak wygląda Robinsonek, co się z nim stało, i zapytał jeża, czy nie widział, w którą stronę niósł balonik ich przyjaciela.

— W którą stronę? — rzekł zakłopotany język — tego powiedzieć nie mogę. To tylko

wiem, że napewno wasz Robinsonek leży po tamtej stronie rowu, tuż koło mrowiska. Ma takie, jak ty, nogi i jest trochę do ciebie podobny. Ale wcale niesmaczny. Próbowałem i od nogi i od głowy, ale żadnego w tem smaku nie było, więc go zostawiłem w spokoju.

— Ach, ty niegodziwcze! jak śmiałeś! — krzyknął Trum-Bum i chciał jeszcze coś mówić, ale jeża już nie było. Wokoło było cicho i spokojnie. Trum-Bum upadł na trawę okropnie zmęczony i wkrótce zasnął.



XI.

JAK SIĘ SKOŃCZYŁA WYPRAWA.

Gdy podróżni nasi obudzili się, było im dziwnie jakoś ciasno, duszno i ciemno.

— Pewien jestem, że było nam lepiej, wygodniej i jaśniej, gdyśmy zasypiali — rzecze Trum-Bum.

— Nie przyciskaj się tak do mnie, Drewnienko, pognieciesz mi suknię — prosi księżniczka Lola.

— Nie mogę się poruszyć, tak mi ciasno — biada Chińczyk Chi-cha-cha.

— Gdzie jesteście? — pyta zaniepokojona Klapsia.

— Leżymy w worku ogrodnika — odzywa się nagle jakiś głosik.

— Robinsonek! — krzyknęła Lola, doprawdy, to głos Robinsonka.

Był to Robinsonek.

— Więc naprawdę ocaliliśmy ciebie! — woła Trum-Bum.

Radości nie było granic! Cieszyli się wszyscy, cieszył się Robinsonek, że się ze swoimi mógł zobaczyć.

Robinsonek opowiadał, jak latał w powietrzu, unoszony przez balonik, jak później opadał coraz niżej, gdy balonik coraz mniejszy się stawał, bo z niego powietrze wychodziło, i jak nareszcie balonik spadł na ziemię i jak ogrodnik ich znalazł.

Lalki opowiadały o swoich przygodach. Trum-Bum o walkach, jakie staczał z różnymi wrogami. A tymczasem ogrodnik, który ich niósł, wszedł do kuchni.

— Czego chcecie? — spytała go kucharka.

— Ano, lalki panienki naszej znalazłem w ogrodzie i przyniosłem tu w worku.

— O la Boga! — zawołała kucharka, klaszcząc w ręce z radości. — Tyleśmy się ich naszukali, i panienka tak się napłakała. Nacia spała jeszcze,

gdy kucharka wniosła lalki do dziecinnego pokoju i pousadzała je pomiędzy innymi lalkami.

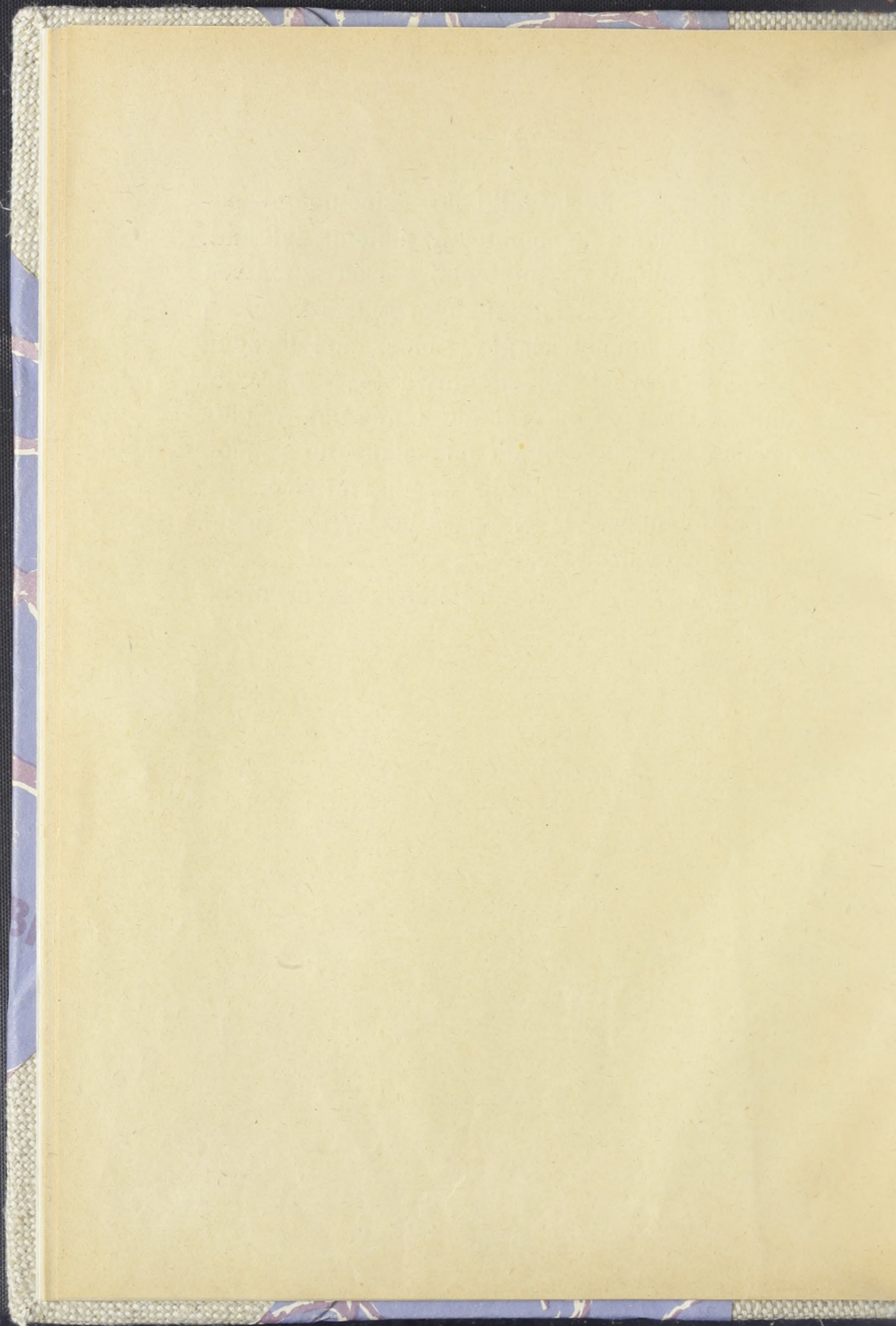
Jaka radość zapanowała wśród zabawek Witka i Naci, czyż potrafiłabym opisać!..

Zajączek uderzał ciągle w blaszane talerzyki, osielek zamasyście kiwał głową to w górę, to na dół. Pajac wywijał rękami i nogami, a mała nakręcana myszka biegała od ściany do ściany, roznosząc po całym pokoju wesołą nowinę.

Jak się ucieszyła Nacia, a jak Witek, to już sami sobie wyobraźcie.

Tak się skończyły przygody pięciu lalek.





W CZASIE NOCNEJ ZAWIEI.

Hania śpi smacznie na miękkim łóżeczku i nie wie nawet, że na dworze burza okrutna szaleje. Noc taka ciemna, że o parę kroków nie już nie widać. Śnieg miękki, wilgotny sypie białymi płatkami, a wiatr jęczy, skomli i szarpie gałęzmi drzew, jakby je wszystkie chciał powyrywać, zniszczyć, połamać.

Drogą, śniegiem usłaną, idzie Wojtuś, syn biednej wdowy ze wsi sąsiedniej. Biedny chłopczyna powraca z miasteczka. Lekarstwo tam kupował dla chorej matki i tak mu długo czekać w aptece kazali, że się opóźnił. Noc zapadła, śnieg drogę zasypał. Teraz ciemno, zimno, nogi grzęzną w śniegu, a do domu tak jeszcze daleko! Wiatr dmie mu w piersi, ściąga nędzną kapotę. Wojtuś ledwie posuwa się naprzód i bardzo jest zmęczony. Przytem głód dokucza biedakowi, bo prócz

kawałka czarnego chleba nie dzisiaj nie jadł. Naciska czapkę, którą wichur mu zrywa, ściąga na piersiach świtkę i brnie w głębokim śniegu bosem nogami,

Wtem zatrzymał się z wielką w sercu trwogą, obmacał kieszenie kapotki i zadrżał: flaszki z lekarstwem niema! Pewno wypadła mu z kieszeni, gdy wiatr sukmaną szarpał.

Co pocznie teraz?... Jakże powróci do matuli bez lekarstwa, kiedy tak bardzo jest chora?...

Śniegu tak dużo leży na drodze, że pewno się nawet buteleczka nie stłukła—myśli zmartwiony Wojtuś — ale jakże ją znaleźć w tę noc taką ciemną?...

Wojtuś schyla się, wyciąga skostniałe rączyny i klepie nimi po śniegu na prawo, na lewo... Niema. Zwrócił się w stronę miasteczka i wciąż szuka po drodze, którą przebył. Nogami i rękoma obmacuje śnieg zimny, ale zgubionego lekarstwa znaleźć nie może.

Nareszcie zmęczony, znękany chłopiec, gdy siły go opuściły, siada na drodze i głośnym wybucha płaczem. Śnieg przestał już sypać, ale wiatr złości się jeszcze. Jak wściekły pędzi po drodze, zgarnia śnieg, to unosi go gdzieś daleko. Trochę przycichnie, zda się, że już się uspokoił.



W czasie nocnej zawiei.

Ale nie: za chwilę znowu wpada w to miejsce, gdzie siedzi biedny Wojtuś. Zakręci, plówce włosy chłopczyka potarga i znów pędzi przez pola, unosząc płacz i skargi dziecka. Tam chora matka jego leży, lekarstwa wyczekuje i powrotu syna. Niepokoi się pewno. Myśli może, że Wojtusia, jej dziecko jedyne, dzikie zwierzęta w tę noc ciemną opadły, lub że zblądził gdzie po drodze. Smutek więc wielki ściska serce chłopczyny, strach oddech mu tamuje. Wpatruje się w ciemne otchłanie nocy, a łzy spływają po wychudłej twarzy. Nawet sen go nie bierze.

O, gdyby to kto nadjechał! — myśli Wojtuś. — Ulitowałby się może nad jego dolą i dopomógł jako. Więc nadśluchuje. Ale i to napróżno...

Wiatr tylko dmie coraz już słabiej, aż wreszcie ścichł zupełnie. Zapanowała głęboka cisza.

Z za lasu wolno poczał wschodzić dzień. Biednemu chłopcu zdawało się już, że ta noc ciemna nigdy się nie skończy. Siedział przy drodze skulony, zgłodniały i zziębnięty. Płakał cicho i myślał o matuli, którą kochał tak bardzo. To też, gdy pierwsze promienie słońca ukazały się na skraju nieba i różowem światłem oblały wierzchołki drzew, Wojtuś zerwał się na nogi. Jakaś nadzieja i radość wplynęły w duszę bie-

daczka razem z temi promykami światła dziennego. Wytarł załzawioną twarz śniegiem i westchnął głęboko, dziękując Stwórcy za światło, które zsyła na pociechę biedakom.

Rozejrzył się wokoło siebie po śniegu i ruszył w stronę miasteczka.

Nim dzień się zrobi, dojdzie tam — myślał Wojtuś — choć bardzo jest zmęczony, weźmie nowe lekarstwo w aptecce i, nie wypoczywając, zanieśie chorej matuli. Cóż z tego, że głód mu dokucza: dla matusi swej pocierpi jeszcze trochę. Wszakże ona też cierpi, a czeka na lekarstwo, które, doktor powiedział, że pomoże jej napewno. Tak myśli Wojtuś i jak tylko może śpieszy do miasteczka. A idąc, układa sobie w głowie, jak on aptekarza przeprosi, że pieniędzy nie ma i kapotkę swą zostawi, aby tylko lekarstwo mu nowe wydał.

Nagle coś uczuł pod bosemi stopami. Schylił się...

Ach, jakież szczęście... To flaszka z lekarstwem zgubiona, cała, owinięta papierem, tak jak ją włożył do kieszeni!...

— Matulu moja, matulu! — woła rozradowany chłopczyzna — duchem ci ją przyniosę.

I już nie idzie, ale biegnie drogą do rodzinnej wioski. Zapomniał o głodzie. Nie czuje zmę-

czenia, nie myśli nawet o sobie, tylko śpieszy i biegnie do chorej matki.

A dzień powstaje, słońko coraz więcej wysuwa się na wypogodzone niebo; śnieg lśni na drodze, jak gdyby drobne ziarnka diamentów.

.

Gdy zasapany i zmęczony Wojtuś wchodził do swej chatki w wiosce, mała Hania we dworze otwierała oczka.

Przeciągnęła się na swem miękkim łóżeczku, uśmiechnęła do swej niani i rzekła:

— Jaka szkoda, że noc się już skończyła...
Tak dobrze mi się spało!

Nie wiedziała Hania, jaką smutną była ta noc dla biednego Wojtusia.



ZBINIO.

A to sądny dzień! Tylem się napracowałem, a państwo obiadu ani tknęli — mówił stary kucharz, Bonifacy, gdy mu pokojowa, Krystysia, przyniosła nienapoczęte nawet półmiski.

— A gdzie państwu myśleć dzisiaj o obiedzie — odparła Krystysia. — Pani zalewa się wciąż łzami; aż serce boli patrzeć na nią, taka blada. Pan niby to ją pociesza, ale widziałam, jak sam ukradkiem lzy ocierał. Panna Anna to już i nóg nie czuje, a wciąż jeszcze biega, to tu, to tam zagląda i woła: „Zbiniu! Zbiniu!“ A panicza jak niema, tak niema.

— A ja wam powiadam, że Zbinio utonął — wtrąciła stara niania płaczliwym głosem i, z łoskotem nos ucierając, dodała:

— Jaki był, to był; chociaż zbyt i często dokuczył mi, to przecie żał dziecka: jedynak

u rodziców. Pani tego nie przeżyje, a szkoda, bo taka miłosierna, taka dobra pani i tak się martwi.

— Jak się nie martwić matce — rzekła znów Krystysia — albo to mało nad paniczem pani namordowała się? Gdy był maleńki, sama go po nocach na ręku nosiła, do snu usypiała, a jak czasem zachorował, co to było strachu!... Pani już wtedy ani na chwilę od synka nie odeszła. I teraz zginął, jakby w wodę wpadł! — kończyła Krystysia.

— A to pewno, że wpadł gdzie do stawu i utonął — upierała się niania.

— Przecie staw obszukali, z sieciami cały obeszli i nie znaleźli. Wszędzie obszukali: i w lesie, i na polu, i w ogrodzie — opowiadała Krystysia. — Cały dwór od rana na nogach. Ludzie nic nie robią, jeno szukają. Teraz pan ich odprawil, bo i po co dłużej szukać... i gdzie? Przecie wszędzie już obeszli.

— Hm... — mruknął Bonifacy. — Może i zginął. Państwa to żal, bo się martwią, ale i takby się martwili, bo Zbinio uczyć się nie chciał, a dobroci rodziców cenić nie umiał. O tem tylko myślał, aby sobie dogodzić. Z takich dzieci to przecie nic dobrego nie wyrasta i rodzicom pociechy nie byłoby.

Tak rozmawiała służba państwa Dobrzyckich w kuchni. W pokojach desperowali rodzice dwunastoletniego Zbinia i nauczycielka jego, panna Anna.

Zbinio tymczasem zdrów i pewny siebie maszerował drogą i był już o milę całą od rodzicielskiego domu.

Nie domyślał się nawet, że tam mamusia jego płacze i rozchorować się może ze zmartwienia, że tatuś także jest bardzo smutny. Zbinio zapomniał zupełnie o rodzicach.

Rad był, że ma zupełną swobodę, że panna Anna do lekcji go nie zapędza, że mamusia nie każe grać na fortepianie, i nikt go nie przestrzega, nie robi mu nikt uwag. Może teraz robić, co sam zechce.

— Tylu ludzi żyje na świecie i dobrze im jest, chociaż nigdy nad książkami nie ślęczeli — mówił do siebie chłopczyk. — Ot chociażby i ci wieśniacy, co uwijają się na polu i wesołe śpiewają piosenki, o ileż oni szczęśliwsi są ode mnie! Ci nie potrzebują pisać opowiadań, uczyć się francuskiego, niemieckiego i grywać nudne wprawy na fortepianie! Dobrze, żem wyszedł z domu, dawno powinienem był to zrobić. Będę sobie teraz podróżował i żył swobodnie, jak Robinson albo inni, o których czytałem w książkach.

Tak rozprawiał Zbinio i szedł drogą wśród

pól, na których praca aż kipiała. Rolnicy żęli zboże, inni zbierali je już z pola i zwozili do stodół. Zbinio szedł, to znów chwilami wypoczywał: leżał wyciągnięty wśród pól i traw, co kwitły przy drodze.

W małym koszyczku zabrał ze sobą z domu trochę owoców i ciastek, niemi posilał się, dopóki mu starczyły. Teraz koszyczek był pusty, leżał w nim tylko woreczek z pieniędzmi, które otrzymał na urodziny od tatusia.

Chłopczyk szedł wciąż dalej, pogwizdywał i nie zauważył nawet czarnej, złowrogiej chmury, która ukazała się na nieboskłonie. Chmura ta, jak wielki żółw, wypelzała z poza lasu, co widniał w oddali i rozpościerała się coraz bardziej na błękitnem sklepieniu nieba. Lekki wiaterek poruszył liście drzew i ucichł, a za chwilę rozległ się przeciągły i głuchy grzmot. Zbinio obejrzał się zaniepokojony. Burzy bał się okropnie. Nawet wtedy, gdy był w domu, gdy na jego prośby pozamykano szczelnie okiennice i siedział w pokoju oświetlonym lampą, tulił się do swej matki ze strachem i krył twarz w jej dłoniach, kiedy grzmiało.

Teraz stał sam jeden na drodze wśród pól rozległych. Nigdzie ani domu, ani wioski, gdzieby mógł się ukryć, nie widział. A chmura czarna wy-

suwa się coraz bardziej, zakrywa niebo swem cielskiem, a grzmot rozlega się coraz głośniej i błyskawice, jak węże ogniste, krzyżują się na niebie.

Zbinłowi serce bije gwałtownie, oddech ze strachu w piersiach mu zamiera. Zobaczył w od dali gromadkę żniwiarzy, więc biegnie co tchu do nich.

Zbliża się do najstarszego wieśniaka i, uchyłając kapelusika, mówi pokornie:

— Może mię pan gospodarz odwiezie do domu? Burza nadchodzi, lękam się, że deszcz mię zmoczy, a do domu moich rodziców daleko.

Wieśniak spojrział na Zbinia i, nie odrywając się od roboty, zapytał:

— A skąd panicz?

— Z Tatolina — odrzekł chłopczyk. — Rano stamtąd wyszedłem.

— Oho! — odparł wieśniak — mila blisko drogi; ale żeby nawet i wiorsta tylko była, tobym teraz roboty nie rzucił. Nie mam na to czasu, paniczu.

— Ja zapłacę — rzekł chłopczyk nieśmiało. — Odwieźcie, panie gospodarzu, bo burza idzie.

— Właśnie, że burza idzie, to nam śpieszno ze zbożem przed nią umknąć. Ani chwili czasu, paniczu, nie mamy. Dwie fury żyta trzeba jeszcze naładować i do stodoły zawieźć.

Zbinio próbował jeszcze prosić i nalegał, ale wieśniak odrzekł stanowczo:

— Jeżeli chcecie, paniczu, to was do chałupy zabiorę, ale co odwozić do domu, to już dziś nie mogę. Możecie u mnie przenocować, a jutro, to i sąsiad który może was do Tatolina odwiezie. Panicz nie rozumie — ciągnął dalej wieśniak — ile to straty byłoby, gdybyśmy zboże na polu na deszczu zostawili.

I dalej wiązał snopy; inni na wóz je wrzucali.

Zbinio przekonał się, że nic dalsze prośby nie pomogą. W domu, gdy chciał czego, to rozpędzał służbę, krzyczał i nalegał, dopóki mu nie zrobiono, czego chciał. Tu musiał słuchać, czekać i ulegać.

Stał smutny i drżący, a grzmoty coraz głośniej huczały mu nad głową, błyskawice coraz częściej przesywały powietrze, piorun uderzał za piorunem.

— Panicz dopomógłby lepiej, zamiast stać tak jak słupek i patrzeć ze strachem, jak się burza zbliża — odezwała się jedna z robotnic.

— Przy robocie to i czekanie nie tak się zdłuży — dodała druga.

Zbinio, potulny jak nigdy, zbliża się do gromadki żeńców, podnosi snopy i podaje stojącemu obok parobczakowi, który je na wóz ładuje.



Zbinio.

Snopy ciężkie, chłopczyk zaledwie parę podniósł, a już się zasapał i spocił.

— Panicz się zmęczył — powiada parobczak — to niech lepiej garście zbiera, co tam na zagonie jeszcze pozostały. Ot tam, obok Ignasia; to robota lekka.

Zbinio, posłuszny, zbiera rozłożone zboże do kupy, ale w duchu myśli, że wcale to nie lekka robota. Rżysko kłuje mu ręce, chwasty uschłe do krwi je kaleczą, syka już z bólu co chwila.

— Nie myślałem nigdy, że to taka ciężka praca rolników — myśli Zbinio — wolałbym tysiąc razy przy księżce siedzieć.

Burza szaleje okrutnie. Niebo szare, jak ołowiane, rozpostarło się nad polem i tylko błyskawice krwawem światłem co chwila otaczają gromadkę pracowników. Zbinio, pochylony nad zagonem, drżący i blady, zbiera garście. Pot wystąpił mu na czoło, ręce pałą, jakby je ogniem poparzył, plecy bolą okrutnie... Siły go już opuszczają... Za chwilę rozplacze się pewno, nie wytrzyma dłużej.

Obok niego pracuje Ignaś, chłopczyk w jego wieku. Ten uwija się tak prędko, że Zbinio patrzy na niego z podziwem.

— Nie mielibyscie, paniczu, ani bułek, ani

chleba, gdybyśmy tak wszyscy wolno pracowali, jak wy — powiada mu z uśmiechem Ignas.

Zbinio zarumienił się ze wstydu. On dopiero chwilę pracuje i tak się bardzo zmęczył, a powiadają, że i ta robota niewiele jest warta.

— Och, o ileż to łatwiej grać wprawki, uczyć się i pisać, niż tak schylonemu pracować na polu przez dzień cały!... — myślał Zbinio i rozpacz go już brała.

Na szczęście wozy zbożem już naładowano. Gospodarz stanął na jednym z nich i, trzymając lejce, spytał Zbinia:

— No, chce panicz do mojej chaty, to proszę siadać.

Podsadzili Zbinia, bo sam nie mógł się wgramolić; gospodarz zaciał konie i ruszyli.

Zanim dojechali do wioski, burza rozszalała się na dobre i deszcz lał już jak z cebra.

Zbinio, zmoknięty i nawpół żywy z przerażenia, wszedł do chaty wieśniaka. Poczciwa Mateuszowa dała mu czystą koszulę i odświętne ubranie swego Ignasia, żeby panicz mógł wysuszyć swoją bieliznę i ubranie, z których woda się lała. Potem wieśniacy posadzili Zbinia przy stole i Mateuszowa podała wieszak.

Wszystkim w jedną dużą misę nalala klusek

zabielonych mlekiem, paniczowi podała to samo na oddzielnej miseczce i położyła mu obok drewnianą łyżkę i kawałek czarnego chleba.

— Posilcie się, paniczu — rzekła gospodyni — jak na wasze szczęście, lepszą dziś wieczerzę mamy, niż zwykle. Posilcie się przed spaniem — zapraszała.

Zbinio spojrział ze zdziwieniem na tę „lepszą wieczerzę“. Tam, u rodziców jadłby teraz kurczęta z sałatą, ciasta, konfitury. Ci biedacy, po takiej ciężkiej pracy, jedzą kluski na wodzie zabielone mlekiem i cieszą się, jak gdyby to były specjalja jakie.

— Widocznie czasem jeszcze gorzej jada ją — rozmyślał pieszczoch.

Gruba koszulka Ignasia, którą włożył, szorowała mu ciało, ubranie niezgrabnie na nim wisiało, jak na kołku jakim.

— Tak biednie mieszkają — myślał Zbinio, rozglądając się po małej izbie — tak jedzą nędznie i tak się biednie ubierają, a pracują tak okropnie ciężko!...

I dlaczego?...

— Nie posiadają wiedzy, nie mają nauki — odpowiedział sobie z westchnieniem.

A on tak się bronił, gdy go uczyć chciano. Taki się czuł nieszczęśliwy, że tatuś chciał, aby

on wyrósł na wykształconego człowieka i w lżejszy sposób i mniej nużący mógł potem zarabiać na życie. O, jakież był niewdzięczny i jaki niemądry!...

W myślach swych zatopiony Zbinio jadł bardzo mało. W duchu czynił sobie wyrzuty za swoje dotychczasowe postępowanie: przypominał, jakim niedobrym był synem dla swych rodziców, jakim niedobrym chłopcem dla swego otoczenia, i gorąco w sercu przyrzekał poprawę. Z tęsknotą ogromną myślał teraz o mamusi i tatusiu, których zasmucił, i niczego już nie pragnął, byle tylko jak najprędzej mógł ich uścisnąć, uspokoić i upewnić, że nigdy, już nigdy nie przyczyni im zmartwienia.

Gdy cała gromada wieśniacza strudzona pracą spała, Zbinio, leżąc na słomie obok Ignasia, wciąż robił porównania pomiędzy temi wygodami, jakie miał u rodziców, a tem życiem wleśniaków, których poznał i polubił serdecznie za pocziwą, a taką ciężką ich pracę, o jakiej nie miał pojęcia.

Rano, gdy Mateusz zaprzągnął konia do wózka. aby odwieźć panicza, Zbinio, jak brata, uścisnął Ignasia, serdecznie pożegnał całą gromadę wieśniaków i przyrzekł, że przyjedzie kiedy do nich

na swym siwku i przywiezie Ignasiowi książeczkę do czytania.

.

Zbytecznem chyba jest mówić, jaka radość była w Tatolinie, gdy Zbinio przyjechał do domu swoich rodziców.

— Z tamtego świata! — wołała uradowana niania, żegnając się pobożnie.

Zbinio serdecznie i szczerze przeproszał rodziców za swój lekkomyślny postępek i gorąco przyrzekał poprawę. Trzeba też przyznać, że przyrzeczenia dotrzymał.

Zmienił się do niepoznania i jest teraz prawdziwą dla rodziców pociechą. Kochają go też rodzice jeszcze bardziej, kocha służba i domownicy, i Zbinio, wesoly i szczęśliwy, wyrasta na porządnego człowieka.



PRZYGODY JEŻYKA.

Spał przez całą zimę i nic go nie obchodziło, co się na świecie dzieje. Gdy słonko na wiosnę mocniej przygrzało, obudził się, przeciągnął na swem posłaniu z mchów i suchych trawek, wyprostował łapki i począł się gramolić!

Wkrótce z pod dużej kupy suchych liści ukazał się mały jego ryjek. Jeżyk węszył, czy niebezpieczeństwa jakiego niema. Potem wysunął się cały i wesółmi oczkami rozglądał dokoła. Śniegi już stopniały. Na szarej ziemi widniały tu i owdzie małe, wątłe jeszcze roślinki. Nieśmiało spoglądały one w słońce, jakby pytając, czy je dostatecznie ogrzeje. Były takie zziębnięte, takie spragnione wiosennego ciepła!... Na gałęziach drzew uwijały się ptaszęta, świergocąc wesoło.

Jeż podreptał kilka kroków naprzód i za-

trzymał się w miejscu. Namyślał się widocznie, w którą pójdzie stronę. Słońce schodziło na spoczynek.

W powietrzu unosiły się gromadki komarów. Jeż uczuł, że strasznie jest głodny. Nic dziwnego: ostatnią strawę spożył na jesieni, przed udaniem się na drzemkę zimową. Ale i wtedy nie podjadł dostatecznie, bo lis, nic dobrego, przeszkodził mu w wieczery:

Ale jak to było?..:

Aha, już przypomniał sobie. To wcale niewesołe było spotkanie. On z żoną, dobrą wesołą panią językową, uwijał się przy mysiej jamce, szukając pożywienia przed spoczynkiem. Schwycił już jakąś marną myszkę i chciał ją spożyć, gdy usłyszał cichy jęk swojej towarzyszki. Pobiegnął w tę stronę, sąkd głos dosłyszał i... o zgrozo!...

Lis okrutnik jego żonę podrzucił łapą, niby piłkę jaką, i tak ją zatoczył do małej kałuży, co stała po ostatnim deszczu na polance. Biedaczka językowa, myśląc, że już tonie, gdy wodę na skórze poczuła, wysuwa główkę i łapy, a lis morderca chwytła nieszczęśliwą za brzuszek i dalej rozszarpywać na kawałki i zjadać. Okropny był widok! Ciężka dla języka chwila. Mierzyć się z takim drapieżcą było niepodobna. Jeż ledwie zdołał sam ocalić swe życie. Umknął

w porę przed lisem, schował się do nory i, choć głodny jeszcze, już się z niej nie wysunął. Zasnął wkrótce i to mu ulgę przyniosło. Zapomniał o myszce, którą w przestkach na swobodę wypuścił, o żonie swojej biedaczce i o lisie okrutniku. Teraz głód wszystko to przywiódł mu na myśl.

— Niema rady, trzeba się posilić — zdecydował jeź, którego wspomnienia przeżytych cierpień mocno zasepiły.

Pobiegł w jedną stronę, potem zawrócił; małymi kroczkami przydreptał na brzeg lasu i węszył, i nadśluchiwał. Napotkał jakąś muchę, siedzącą na trawce... zjadł ją; nie bronila się się weale.

Ale cóż to znaczy dla jeża?! Apetyt tylko zaostrzył mu się więcej i głód bardziej dokuczał.

Widocznie owady śpią jeszcze — zawczasie się zbudził, ale znaleźć coś do zjedzenia trzeba koniecznie. — Więc biegł i biegł naprzód. Zapomniał już o niebezpieczeństwie, o potrzebnej ostrożności, myślał tylko o tem, aby zaspokoić głód, co mu coraz mocniej dokuczał.

Z lasu tymczasem wyszła Magda, wieśniaczka, ze swym synem i podążali w tę stronę, w którą dreptał jeź zgłodniały. Szymek dojrzał zdala zwierzątko i popędził za niem.

— Jeż, jeż, matulu! — wołał chłopiec. — Paczcie, jak to drepce; pewnie tak do naszej obory śpieszy, aby się mlekiem naszej Gniaduli wypasać! O, nie daruję ci, szkodniku, poczekaj!...

Mówiąc to, Szymek dopadł do rosnącej topoli, wyłamał gałąź i pogonił z nią za jeżykiem.

Biedne zwierzątko, poczuwszy napaść, wkułło łapki, główkę i ogonek i, jak kłębuszek najeżony kolcami, leżało na ścieżce, oczekując swej doli.

A Szymek jął wymachiwać nad niem kijem i krzyczał, jak gdyby nie małego jeża, ale wilka jakiego miał przed sobą.

— A będziesz mleko u krów wypijał... a będziesz?... Masz!... masz!...

Biedny jeżyk nie tylko mleka, ale nawet krowy nigdy w swoim życiu nie widział i do zbrodni, jaką mu Szymek przypisywał, wcale się nie poczuwał. Zginąłby jednak napewno za niepopelnione winy karany, bo kij Szymka spadał na niego raz po razie. Na szczęście nadbiegły w tej chwili dzieci ze dworu, Eduś, syn dziedzica, z siostrzyczką swą, Helą.

Eduś odebrał kij chłopakowi, a Hela, która miała bardzo dobre serduszko i lubiła zwierzęta, odezwała się do wieśniaczki:

— Jak możecie, Magdo, pozwalając, aby syn

wasz tak nieludzko pastwił się nad bezbronem zwierzątkiem?

— Albo to warto żalować tej gadziny, panielko? — tłumaczyła się Magda. — Przecież wszystkim wiadomo, że jest to szkodnik: do obory w nocy się zakrada i mleko u krów wypija. Pewno i nasza gniadula zeszłego roku tak mało mleka dawała, że ją jaki jeż opijał — dodała z przekonaniem wieśniaczka.

— Nie wierzcie temu, kobieto! — zawołał Eduś — to są bajki niemądre i przez ludzi ciemnych zmyślane, przez tych, co nie mają nauki i nie znają życia tego poczciwego zwierzątka.

A Hela dodała: — Jeż żywi się owadami, tępi też myszy polne i dlatego bardzo jest pożyteczny dla rolników. Powinniśmy go szanować i nie krzywdzić.

— Tak, — wtrącił znów Eduś, zwracając się do Szymka — jeż to nasz przyjaciel. A taki jest nieśmiały i ostrożny, że napewno uciekłyby od krowy. Wasza Gniadula mleka wam mniej dawała pewno dlatego, że ją karmiliście gorzej. Jeżyk nie jest temu winien.

Magda i Szymek słuchali ze zdziwieniem. Nie słyszeli oni nigdy o tem, co im mówili mali państwo, bo nikt ich tego nie uczył.

Hela pochyliła się nad jeżykiem.

— Biedny, niesłusznie pokrzywdzony języku! czy żyjesz jeszcze? — pytała dziewczynka. Jeż wciąż jeszcze leżał zwinięty w kulkę.

— Kolce ma połamane — mówił Eduś — jeżeli żyje jeszcze, to pewno przechoruje to spotkanie z Szymkiem. Nie możemy go tak zostawić, bo może nie dałby sobie rady i zginąłby z głodu.

— Zabiorę go do domu — rzekła Hela. — Gdy wypocznie i wydobrzeje, będzie mógł powrócić sobie do lasu; nie będziemy go więzili.

Dziewczynka wzięła ostrożnie języka, włożyła go w fartuszek i poszli oboje z Edusiem do białego dworu, gdzie oczekiwali ich rodzice i wieczerza.



DALSZE PRZYGODY JEŻYKA.

Ocalony od śmierci jeżyk wyleczył się wkrótce i tak się oswoił, że nawet nie myślał o ucieczce do lasu.

Dobrze mu tu było w starym dworku. Przywiązał się do ludzi, którzy go karmili i żadnej nie czynili mu krzywdy. W dzień spał w kąciku za szafą, gdzie mu Hela wygodnie przygotowała poślanie. Gdy wieczór nadchodził, wylazł ze swej kryjówki i, stukając o podłogę łapkami o długich pazurkach, dreptał małemi kroczkami po całym mieszkaniu, węsząc i zatrzymując się co chwila. Myszy nie było w domu, więc nie mógł na nie polować, ale uganiał się po nocach całych w kuchni za karaluchami i persakami, przez co zjednał sobie wielką łaskę u kucharki.

Dużą ilość ich wytępił, zjadając z apetytem, reszta zaś wyniosła się gdzieś pośpiesznie, nie

chcąc mieszkać pod jednym dachem z takim zbójem.

Wkrótce język stał się ulubieńcem wszystkich mieszkańców dworka. Lubily go dzieci i bawily się z nim, jak z kotkiem; lubili państwo i służba. Nawet stary pies, Ergo, przestał go prześladować i już nie rzucał się, jak w pierwszych dniach, na małego. Gdy się przypadkiem spotkali, Ergo podkulał ogon i, spoglądając z niedowierzaniem w tę stronę, którą przebiegał Jeżyk, zawracał w inną lub obchodził go zdaleka. Jeżyk przestał się bać Erga i nawet nie skręcał się w kłębek, gdy psa blisko siebie zobaczył. Czuł jednak do niego jakąś niechęć, bo zatrzymywał się wtedy w miejscu i fukał na psa:

— Fuu! fuu! fuk... — robiąc przytem wielce zabawną minę.

Gdy wszyscy zasiadali przy stole i zabierano się do wieczerzy, język zjawiał się zaraz w jadalnym pokoju i póty tupał naokoło stołu, dopóki Eduś lub Hela nie wzięli go na ręce. Przynoszono z kuchni kawałek surowego mięsa, ulubiony przysmak języka, i zaczynało się prawdziwe przedstawienie. Eduś sadzał języka na stole i dawał mu wąski pasek mięsa, którego drugi koniec trzymał mocno w palcach. Jeżyk ciągnął zębami mięso, usiłując wyrwać cały kawałek

z palców panicza, przyczem kręcił główką na prawo i lewo, opierał się łapkami o stół, ślizgał po ceracie i podjeżdżał, zabawnie mruczając przytem. Dzieci śmiały się z jego usiłowań daremnych, a Ergo skomlił, bo brzydka zazdrość męczyła go na ten widok. On, stare psisko, radby był, żeby z nim tak się bawiono.

Raz, gdy dzieci chciały w dzień pobawić się z jeżykiem, nie znalazły go na zwykłym miejscu za szafą. Obszukano wszystkie kąty: napróżno... Zginał.

— Może nieszczęście jakie spotkało go — mówiły dzieci — a może wyniósł się od nas gdzie do lasu.

Minęło dni parę, Eduś i Hela już oplakiwali swego jeżyka, gdy do pokoju wszedł tatuś. Obiema rękoma trzymał kalosz i śmiał się serdecznie. Z kalosza wychylał główkę jeżyk i fukał, zły, że mu spać przeszkadzają, kiedy deszcz pada na dworze i nic lepszego niema do roboty.

Odtąd zawsze w kaloszu tatusia wysypiał się i jakby z forticy jakiej, którą zdobył, bronił się zawzięcie, gdy go wyrzucano. Tatuś musiał się poddać i kupił sobie nowe kalosze. Stare obydwa przeznaczono na sypialnię dla jeża.

.

Był śliczny dzień czerwcowy. Dzieci wybrały się na przechadzkę i zabrały ze sobą jeża wraz z jego kaloszem.

Nabiegawszy się dowoli, Eduś i Hela usiedli pod cieniem starego dębu na małym wzgórku, u którego stóp przepływała struga. Wysokie trawy otaczały brzegi strumienia, mnóstwo kwiatów tu kwitło, mnóstwo owadów nad nimi się uwijało. Wyżej, na wzgórku mchy się rozścielały. Widok na okolicę był tak piękny, że dzieci nawet rozmawiać nie miały ochoty i, cichutko siedząc, przyglądały się motylkom, muszkom tańczującym w powietrzu i kwiatom i trawkom, co, jak dywan przepyszny, rozścielały się pod ich stopami.

Nagle uwagę ich zwrócił jakiś szmer tuż obok. Obejrzały się i skoczyły przerażone.

O kilka kroków leżała żmija. Żądło wysunęła, podniosła głowę i już gotowa była rzucić się. Przed nią stał jeżyk i fukał po swojemu. Rozdrażniona żmija rzuciła się na jeżyka i widocznie ugryzła go w ryjek, gdyż zwierzątko wstrząsnęło główką i poczęło się oblizywać. Tymczasem żmija szykowała się do nowego rzutu. Eduś i Hela zdrętwieli ze strachu. Żmija nowy cios wymierzyła jeżykowi, ale on w tej chwili rzucił się na nią i, chwyciwszy za głowę,



Przygody języka.

odgryzł ją, poczem, jak gdyby nie złego nie zaszło, jął zjadać dalszy ciąg żmii, która, choć bez głowy, wiła się w trawie i rzucała gwałtownie. Zanim dzieci zdołały opamiętać się, jeżyk zjadł blisko połowę żmii i spokojnie, małemi kroczkami, wracał do swego kalosza.

— Uciekajmy stąd, biedaczku! — mówiły dzieci, zabierając jeża. — Ocaliłeś nam życie, ale sam to przyplacisz śmiercią. Umrzesz, bo wszystkie małe, jak ty, zwierzątka umierać muszą od jadu złej żmii.

Smutne bardzo wróciły dzieci do domu i, pokazując rodzicom jeża, opowiadały o zaszłym wypadku.

— Nie martwcie się — rzekł, uspakajając je, tatuś. — Jeż należy do tych zwierząt, którym jad żmii nic nie szkodzi. Tępi on śmiało te jadowite gadziny i dlatego bardziej jeszcze jest użytecznym.

Dzieci ucieszyły się ogromnie.

— Ach jak to dobrze! — wołały. Złoty, poczciwy jeżyk żyć będzie, a my go jeszcze więcej będziemy lubili.

Jeżyk rzeczywiście był jak najzdrowszy. Tylko od tego czasu coraz częściej wymykał się do ogrodu. Chwytał podjadki żuki, i przeróżne owady. Widocznie zwierzyna taka, którą

sam upolował, zasmakowała mu. Wolał ją, niż mięso z rąk Edusia.

Raz nad wieczorem zapędził się język na sam koniec ogrodu i tam spotkał drugiego jeża.

Dzieci widziały, jak nieznajomi witali się ryjkami, podobnie do ludzi, którzy się całują. Potem jak gdyby nad czemś radziły. Nieznajomy oprowadzał naszego języka naokoło stosu gałęzi, które tu ogrodnik poskładał. Jednym otworem weszły oba do wnętrza, potem język znów wyrzwał, ale za chwilę schował się znowu.

— Pewnie tu pozostanie nasz mały — powiedział Eduś do Heli.

— Niech zostaje, nie będziemy mu przeszkadzali — odparła Hela z smutną trochę minką. — Będzie mu tutaj dobrze, lepiej, niż u nas w domu, bo ma towarzystwo i więcej swobody.

Jeżyk został rzeczywiście. Dzieci przybiegały tu często odwiedzać swego języka o zachodzie słońca; przynosiły mu nawet czasem kawaleczki mięsa. Jeżyk jadł i bardzo był wesoly.

W jesieni Eduś i Hela zauważyli, że oba jeże znoszą do swego domku mech i suche liście. Widocznie uścielały sobie legowisko.

Jeżyk, nie lękając się dzieci, przebiegał tuż koło nich, obładowany zdobyczą. Nióśł cały stos

suchych liści, które, tarzając się po ziemi, natykał sobie na kolce. Niezmiernie zabawnie wyglądał w takim przebraniu.

— Dobranoc, języku, dobranoc! — wołały mu dzieci po drodze. — Dobranoc! Śpij smacznie do następnej wiosny.



SKOWRONEK.

Stęskniony ogromnie wracał do rodzinnej wioski. Siły go już opuszczały, skrzydełka miał omdlałe.

— Jeszcze chwilę, aby jeszcze chwilę — powtarzał sobie. — Tam nad Maćkową rolę wypocznę i będę już u siebie.

Podróż odbył długą i męczącą; z ciepłych wracał krajów. Niechętnie tam odlatywał w jesieni i długo zwlekał. Ale pierwsze chłody nastąpiły, zbrakło pożywienia. Pochowały się muszki, znikły gdzieś owady, nie miał czego w dzióbek włożyć. Nie był nawet wybredny: byle pajak, pędrak jaki, liszka lub dżdżownica, już głódby niemi zaspokoił. Ale tych już nie było.

Oprócz owadów, do innego jadła przekonać się nie mógł; taką już miał naturę. Więc chociaż z żalem, opuścił rodzinne łany i wraz z innymi poleciał tam, hen, daleko...

Ale tęsknił ciągle, nie budował tam gniazda, nie zakładał rodziny. Żył, aby ciężkie czasy przeżyć; myślał wciąż o powrocie.

I teraz, choć plastry śniegu na polach jeszcze leżały i szarej ziemi nie ozdabiały rośliny, on, szara, mała ptaszyna, już przywędrował.

Chwilę tylko wypoczął i wznosił się zaraz pod obłoki, rzewną nucąc piosenkę.

Dziękował Stwórcy, że mu te polskie łany ujrzyć znów pozwolił; śpiewał słonku, aby jaśniej świeciło i uśpioną przez zimę naturę do życia budziło; wzywał swym śpiewem rolników, aby zardzewiałe pługi na pola wynosili i ziemię niemi orali.

Skrzypnęły wrota Maćkowej zagrody i wyszedł z nich wieśniak sędziwy. Dwa woły prowadził przed pługiem. Wszedł w pole, głowę siwą wznosił w górę, oczy ręką przysłonił i patrzył, gdzie mały skowronek w powietrzu zawisnął.

A kiedy go zoczył, zdjął czapkę, znak krzyża uczynił na piersiach i krzyknął wesoło:

— Witaj nam, witaj, zwiastunie wiosny, śpiewaku! I bądź błogosławiony! Ty pola nasze bronisz od szkodników owadów, a śpiewem swym ciężką pracę rolnika osładzasz. Witaj!...

Skowronek bujał w błękitnych przestworzach. To wznosił się wyżej, to znów opadał i śpiewał... śpiewał...

A na ziemi praca szła ochoczo. Już pola zorano. Spulchnioną ziemię wygładziły brony i rolnik zasiał już ziarno.

Na to tylko czekał mały skowronek. Jego towarzyszka dawno już o gniazdeczku mu gada. Teraz więc spuszcza ją się na pole razem i szukają miejsca, gdzie gniazdo najlepiejby założyć. Wybrali dołek wśród owsów przy miedzy.

— Dobrze nam tu będzie, zacisznie — powiada samiczka i mały dołek głębiej wygrzebuje. Potem oboje znoszą mech miękki i trawki suche, gniazdko niemi wyścielają. Wkrótce gniazdko już gotowe. Samiczka zasiada w niem, a on ugania się w powietrzu za owadami, lub śpiewa zawisły w obłokach.

Wieczorami codziennie zagląda skowronek ciekawy do gniazdeczka: czy dużo jest jajeczek, czy dużo pociech dla rodziców będzie.

Będą pociechy, bo jajek aż pięć jest w gniazdeczku. Mamusia otula je skrzydełkami i ogrzewa. Z każdym dniem teraz przybywa więcej roboty skowronkowi. Trzeba piosnki swe wyśpiewać, samiczkę rozweselać, do gniazdką zajrzeć i ją nakarmić, a oto i synus przybył maleńki. Wyszedł z cienkiej skorupki jajeczka i już drze się: — Jeść, jeść! — woła. Gina więc tłuste liszki, pająki i pędraki. Coraz to więcej

znosi ich do gniazdka skowronek, bo już i drugie wyrzało na świat maleństwo i trzecie... i wszystkie już jeść wołają.

— Cicho, cicho, żarłoki — mówi im tatuś.— Nie tak głośno, bo kot was usłyszy, albo bocian, nasz morderca, przyjdzie tu po was.

I uwija się stary, karmi swą gromadkę i śpiewa... Potem uczyć dzieci swe będzie, aby latały z wdziękiem, wznosiły się w górę, w powietrzu bujały, a nadewszystko, aby śpiewały pięknie.

Jeszcze małe nie mają piórek i latać nie umieją, a już samiczka chce składać nowe jaja.

— Lato krótkie, trzeba się śpieszyć — powiada. — Nie zdążymy drugiego potomstwa wychować. Trzeba więc gniazdko uwolnić.

Tatuś wyprowadza podrosłą trochę dziatwę i ukrywa pod grudkami ziemi każde z osobna.

— Siedźcie tu cichutko i nie wysuwajcie się, gdy mnie przy was niema, by się wam co złego nie stało.

Pracy jest coraz więcej, ale tej się nie lęka mała ptaszyna. Wesolo i rażno się uwija, aby wszystkiemu podolać. I nim jesień nadejdzie, skowronek małe swe wychowa, wszystkiego, co trzeba, nauczy i nas śpiewem swym nacieszy.

Potem odleci z całą swą rodziną hen... do ciepłych krajów.



NAD GÓRSKIM STRUMIENIEM.

Ciotuniu droga, opowiedz nam jaką bajeczkę — prosily dzieci, widząc, że ciocia skończyła pisanie i list wkłada w kopertę. Siedziały cicho, jak myszki, przez całą godzinę, aby ciotuni swej nie przeszkadzać. Teraz, gdy zbliżyła się szara godzina, którą ciocia zwykle na rozmowach z niemi spędzała, dopominały się gwałtownie. Januszek ciągnął ciocię za rękę, Jadziulka fotel przysuwała. Trzy stołeczki były już wcześniej przez nie przygotowane. Jeden pod nogi cioci, dwa dla każdego z nich, bo najlepiej słuchać lubiły, siedząc u nóg cioci, oparte o jej kolana.

Ciocia ucałowała jasne ich główki, pomyślała chwilę i tak zaczęła:

Z wysokiej góry w Tatrach spadał strumień i sphywał ku dolinie wąskiem, ale głębokiem korytem. Znały go oddawna wszystkie krzewy

i kwiaty, co się nad jego brzegami skupiły i lubiły serdecznie, jak przyjaciela.

On je orzeźwiał w czasie skwarów letnich, gdy deszcz przez dłuższy czas nie padał, a w nocy, gdy wszystkie ptaszki przycichły, on pluskiem swych wód do snu je kołysał, wesolym gwarem swym ożywiał nocną ciszę.

Bo nawet w nocy, gdy cała przyroda w śnie głębokim wypoczywała po dziennych trudach — strumień wciąż pędził naprzód, skakał po leżących na dnie kamieniach, pienił się i szemrał, a śpieszył, śpieszył, jak gdyby mu bardzo pilno było wpłynąć do doliny, gdzie już spokojniej toczył swoje wody.

Młode, świeżo wyszłe z ziemi trawki i kwiatki dziwiły się niemało, że strumień tak wciąż śpieszy i tak pędzi naprzód.

Niezapominajki ze zdumieniem wytrzeszczały swe błękitne oczka, a nadbrzeżne irysy łebkami, strojnemi w żółte korony, kiwały ze zdumienia. One, takie spokojne i sztywne, szczególnie nie mogły się wydziwić, dlaczego strumień taki jest gwałtowny, dlaczego tak śpieszy.

— Zanieśie wszystką wodę do doliny i my tu później umierać będziemy musiały z pragnienia — wzdychały młode wonne mięty. I, aby się jak najwięcej wodą nasycić, tłoczyły się coraz

bliżej brzegów strumienia. Kilka z nich już swe korzonki w spienionej wodzie trzymały, bo miejsca nie było na brzegu.

Tylko stary krzak wierzby niczemu się nie dziwił i nie lękał się tego, by strumykowi wody zbrakło. Wiedział on dobrze, mówiły o tem i ptaszęta, co na gałązkach jego huštały się czasem dla rozrywki lub dla wypoczynku, mówiły, że strumień zasilają w wodę topniejące na szczycie gór śniegi i parę małych strumyków, które do niego swe wody wlewały. Z gwałtownością i pośpiechem strumienia także krzak stary już się oswoił, bo rósł tu od niepamiętnych czasów. A choć mu nieraz pastuszkowie, mali górale, gałązki na witki poobcinali nożykami, nowe zaraz wypuszczał pędy i rósł tak szczęśliwy, bez troski, w błękitne niebo zapatrzony.

Tak upływały dni i tygodnie, strumień górski pienił się, szumiał, pędził wciąż na dół, skakał i podskakiwał. Nadbrzeżne jego mieszkanki, rośliny, kwitły i w cichej wdzięczności posyłały swemu przyjacielowi balsamiczne, wonne westchnienia.

Raz w czasie ciemnej nocy zerwała się burza. Błyskawice co chwila przesywały powietrze, piorun za piorunem spadał na uśpioną ziemię, łoskotem swym zagłuszał plusk strumie-

nia. Straszno było na świecie. Nagle rozległ się huk przeraźliwy, aż ziemia zadudniła, a drzewa i wszelkie rośliny zadrżały do korzenia.

— Co się stało? co się stało?... — zaszemrały wylekłe. Nikt nie wiedział, co się stało.

Gdy burza ucichła, a na niebie zaróżowiły się pierwsze promienie słońca, nadbrzeżne kwiaty strumienia podniosły swe kielichy i odetchnęły z radością. Zapomniały o nocnej przygodzie i już uśmiechały się do wschodzącego dnia, do słońca, które tak kochały. Ale radość ich krótko trwała. Oto spostrzegły, że zalane są wodami strumienia. Woda wciąż jeszcze przybywa, strumień zatapia je coraz bardziej, a rwie, szarpie i unosi. Rozpaczliwie trzymają się jeszcze korzonkami ziemi, na której wyrosły, która je wykarmiła. Ale woda kłębi się i pieni, podmywa korzonki coraz bardziej.

— Jeszcze chwilę! o gdyby chociaż jedną jeszcze chwilę utrzymać się na rodzinnem miejscu! — szepcą żałośnie. — To powódź pewno, która minąć musi, i będziemy znów rosły tu spokojnie i szczęśliwie, gdy strumień wejdzie do swojego łożyska.

Próżne jednak nadzieje! Spienione wody nie wchodzą do dawnego koryta. Ginęą krzaczki wonnej młęty; woda wyrzywa je i unosi. Ginęą

kępki niezapominajek, giną trawy i kwiaty wszystkie, jedne za drugimi, unoszone przez prąd szybki. Wkrótce to miejsce, które one zajmowały, zmyte do szczerego piasku, w dno strumienia się zamienia. Na dawnym łożysku strumienia leży kamień, jak góra ogromny, który się tu w nocy podczas burzy stoczył i ułożył.

Ogromny ten kamień zawałił sobą dno i wypełnił koryto poczciwego strumienia, który przez tak długie czasy pozwalał szczęśliwie rozrastać się kwiatom swym nadbrzeżnym. On, ten kamień, sprawił, że strumień musiał inną obrać sobie drogę i, wymijając nieproszonego gościa, po obu stronach tyle sprawił spustoszenia. Tego sprawcę całego nieszczęścia pierwsza spostrzegła mała niezapominajka, gdy, unoszona falą wód, zwróciła niebieskie oczka na to miejsce, po którym dawniej mknął strumień-dobrodziej.

Nie zapomniała ona opowiedzieć spotkanym po drodze siostrzyczkom, że to przybysz jakiś, a nie strumień poczciwy, był sprawcą ich niedoli. Wkrótce jednak i ją pochłoneły spienione fale i poszarpały na kawałki.

.

— Biedna niezapominajka! biedne kwiatki!—
wtrąciła zasepiona Jadziulka.

— Ale dlaczego kamień na dno strumienia się zwałił — zapytał Januszek — skąd się wziął kamień, ciociu? co się stało?

Co się stało, opowiem wam jutro, drogie dziecieczki, dzisiaj już późno. Chodźmy na wieczerzę.



CO SIĘ STAŁO?

Na dnie strumienia leżał kamień wielki, gruby i wysoki. Tak wysoki, że strumień górski nijak przepłynąć nad nim nie mógł. Zebrał swe wody i parł, i pchał niemi w plecy olbrzyma. Chciał osunąć go z miejsca i stoczyć do doliny, aby mu łożyska nie zawałał.

Próżna wszakże była ta praca. Wody z gór coraz więcej przybywało, a z nią i sił coraz więcej do wyparcia nieproszonego przybysza; ruszyć go z miejsca nie było wszakże sposobu.

Trzeba było wyminąć grubasa i po obu jego bokach nowe zrobić sobie łożysko, a przez to zniszczyć trawy i kwiaty, które tu rosły; potem, po tamtej stronie nieznośnego kamienia spadać z wysokich brzegów w łożysko, aby znowu połączyć swoje

wody. Tyle ruinacji, tyle zachodu! Gniewało to strumień, więc warczał, pienił się niezwykle i z hałasem obijał boki kamienia, nie dbając o prawa gościnności.

Kamień tymczasem wypoczywał po nocnej swej wędrówce i rozmyślał nad swoim losem.

Tyle czasu wznosił się na szczycie skały, był góry wierzchołkiem i taki był dumny, taki wspaniały!... Kiedy słońce wschodziło, albo zachodziło, on okrywał się w płaszcz purpurowy, jak gdyby król jaki, i z powagą witał królów ptaków, orły, co nad nim krążyły. W południe, w dni słoneczne, wyglądał, jakby w złote przebrał się szaty, tak lśnił się zdaleka.

I sądził już, że nie sprzeciwić mu się nie zdoła, że będzie tak stroił się i pysznił wiecznie. Nie czuł nawet, jak nadchodziła jego ruina.

To Wiatr, figlarz wielki i bywalec, umówiwszy się z Deszczem i Mrozem, postanowili ukarać pychę próżniaka i zrzucić go ze szczytu góry.

— Tam na dole po wsiach i miasteczkach rodzeni bracia jego, także jak on kamienie, pracują użytecznie i mielą mąkę, obracając skrzydła wiatraków, dźwigają na sobie ściany domów lub świątyń, służąc jako podmurówki, albo, wyglądzone ręką ludzi, stoją na ich mogiłach, aby

świadczyli o ich pracy i dobrych czynach — mówił Wiatr do swych towarzyszy.

— Ten tutaj sterczy bezużytecznie i pyszni się tem, że go słońce ozłaca swym blaskiem, a nikt dosięgać jego wielkości nie może.

— Zrzućmy go na dół, niech nie próżnuje— kończył Wiatr w zapale.

I wszyscy troje wzięli się do pracy.

Deszcz począł zapuszczać swe krople w najciaśniejsze szczeliny i dołeczki kamienia, potem Mróz wciskał się tam i wodę w lód zamieniał. A że woda przy zamarzaniu rozszerza się i więcej przytem potrzebuje miejsca, więc Mróz rozszerzał szpary i szczeliny kamienia, które tym sposobem stawały się coraz większe i głębsze. Deszcz i mróz pracowali gorliwie i kamień pękał coraz bardziej, coraz słabiej trzymał się na skale. Wiatr przybiegał często na zwiady. Zakręci w powietrzu, uderzy w kamień raz, drugi, trzeci i znów odlatuje, aby chmury deszczowe napędzić, lub mróz przyprowadzić, bo kamień trzyma się jeszcze mocno.

Praca ta szła wolno, ale wytrwałością i cierpliwością wszystko zrobić można, więc też i dumny kamień został wreszcie od skały odłączony i tylko małą już cząstką przytrzymał się skały.

Wtedy przyszła Burza.

— Niedolega jesteś — rzekła do Wiatru — dmij mocniej, ja ci dopomogę.

Wiatr z okrutną siłą począł dmuchać. Kamień opierał się jeszcze, ale za chwilę runął z góry. Toczył się długo po spadzistym stoku, wywracał koziolki, że aż ziemia jęczała, aż wreszcie wpadł w strumień, gdzie już się zatrzymał i leżał teraz smutny, przygnębiony.

— Zginałem, zginałem! jęczał głucho kamień. Strumieniowi żal się zrobiło kamienia.

— I czegoż tak rozpaczasz? — Zapytał go wreszcie.

— Byłem taki piękny, taki wspaniały tam, na szczycie góry. Gdy słońce mię ozlacało, wszyscy się mną zachwycali — skarżył się kamień. — Teraz wszystko stracone! Jestem szary, brzydki i nieszczęśliwy... — biadał.

— Uspokój się — perswadował mu Strumień. — Nie ci się złego nie stało. Jesteś takim samym granitem, jakim byłeś przedtem. Patrz — mówił — te wszystkie drobne kamienie, któremi dno moje jest wysłane, to braciszkwowie twoi rodzeni. Mali są, więc ich ludzie nazywają brukowcami. Gdy wody moje uniosą je do doliny, bliżej siedzib ludzkich, ludzie wybrukują niemi ulice...

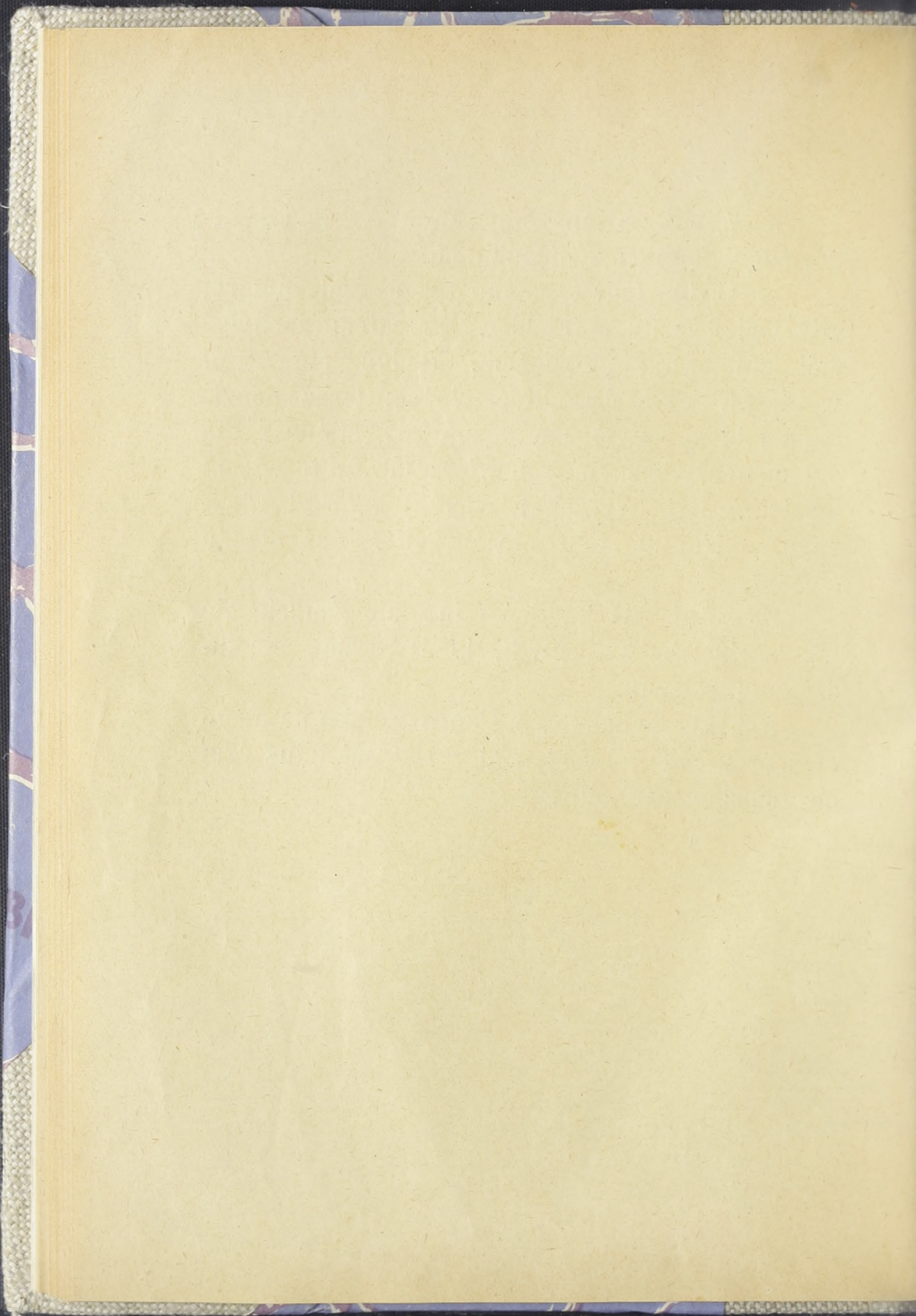
— A cóż ze mną się stanie? — spytał zatrwożony kamień z niepokojem.

— Ciebie ludzie pewno także stąd zabiorą, gdy będziesz im potrzebny. Przedtem zachwycali się twoją pięknnością, kiedyś się stroił w blaski, jakie dawało ci słońce; teraz podziwiać i błogosławić cię będą, gdy staniesz się dla nich użytecznym. A wierz mi, że to więcej warte!... Nie wyrzekaj więc — kończył Strumień. — Nic na tem nie straciłeś, żeś się tu stoczył.

Zamyślił się kamień i już nie smucił się tak bardzo: czekał chwili, kiedy stanie się ludziom użyteczny.

A kiedy południowe słońce rzuciło na niego swe promienie — zabłysnął z radości i już czuł się zupełnie szczęśliwy.





PRZYJACIÓLKI.

Dwie siostrzyczki, Julcia i Wandzia, siedziały w swoim pokoiku i naradzały się, gdy weszła przyjaciółka ich, Marynia. Dziewczynki przywitały się serdecznie, gdyż kochały się bardzo, i Marynia spytała żartobliwie:

— Nad czem-że to tak szanowne panie radzą?

— Ach, utrapienie! — odrzekła Julcia. — Skończyłyśmy lekcje, czasu mamy, jak zwykle, dużo i nie wiemy, co z nim zrobić, więc naradzamy się, coby kupić za pieniądze, które otrzymałyśmy dzisiaj od tatusia. Rodzice dają nam pensję tygodniowo; możemy za te pieniądze kupować, co nam się podoba. Ale co kupić?— pytała Julcia.

— Może poradzisz nam, Maryniu?...— wtrąciła Wandzia. — Lalek mamy już tyle, że nie-

wiadomo, gdzie je pomieścić; garderoba lalek jest wspaniała; lamigłówek i różnych zabawek tak dużo, że już nam one obrzydły; książki rodzice nam kupują i tych także nie braknie. Więc co kupić teraz?...

Mówiąc to, obie siostrzyczki wpatrywały się w przyjaciółkę z oczekiwaniem, co im poradzi.

Marynia powiodła oczyma po pokoju dzieciny. Wszędzie widniały różne cacka zbytkowne: flakoniki, wazoniki do kwiatów, figurki z porcelany zawałaly tualetę. Na biurku pełno było przycisków i przyborów do pisania, a w rogu pokoju stały wózki i łóżeczka lalek o tiulowych kotarach i zasłonkach. Na małych mebelkach w ślicznych sukienkach siedziały rozwalone lalki duże i małe, wszystkie o bezmyślnych wytrzeszczonych oczach.

— Prawda—rzekła Marynia—tych zabawek macie już chyba za dużo. Ja nie mam tego nawet połowy, a nie nudzę się nigdy i jestem bardzo szczęśliwa, gdy mi czasu pozostanie trochę więcej od lekcyj i zajęć mych obowiązkowych.

— Więc cóż robisz? — zapytała zdziwiona Julcia.

— Może nie dostajesz pieniędzy od rodziców i dlatego nie masz kłopotu co za nie kupować?

— I nie martwisz się, gdy kupisz coś, co ci się za chwilę nie podoba i nudzi cię?... — dodała Wandzia.

— Owszem — odrzekła Marynia — moi rodzice dają mi pensję miesięczną i wolno mi z temi pieniędzmi robić, co zechcę. Lalek nie lubię; zabawki wszystkie nie zajmują mnie, gdy jestem sama, ale czas bardzo mi mile upływa.

— A cóż robisz z pieniędzmi?... — pytały siostry.

Marynia uśmiechnęła się.

— O gdybym ich miała jeszcze więcej, nie sprawiałyby mi kłopotu! — odrzekła i za chwilę dodała:

— Gdy otrzymam swą pensję, idę z moją ukochaną nauczycielką, panną Martą, do miasta i kupujemy to, co nam najpilniej na razie jest potrzebne: więc perkal na koszulki, barchan na sukienkę albo chusteczki, pończoszki lub coś podobnego.

Siostry roześmiały się.

— Przecież koszulki i sukienki dostajesz od mamusi swojej; żartujesz chyba, Maryniu?

Marynia spojrzała uważnie na swe przyjaciółki i rzekła z powagą:

— Tak, ja jestem tak szczęśliwa, że mam wszystko co mi potrzeba od mych zacnych, dro-

gich rodziców; ale są dzieci, których rodzice są tak biedni, że nie mogą im sprawić sukienek, koszulek i tych wszystkich rzeczy, które są najniezbędniejsze. Czyż tylko o sobie mamy ciągle myśleć?...

— O, gdybyście wiedziały, drogie przyjaciółki — mówiła Marynia z zapalem — jaka to jest rozkosz widzieć radość małych biedaków, gdy sukienkę czystą i ciepłą dostaną!... Gdybyście wiedziały, jak miło czas upływa, gdy szyję bieliznę lub sukienkę dla małej Basi! Rodzice jej są tacy biedni! Nie mogą jej kupować, czego dziecko potrzebuje niezbędnie; biedactwo musiałoby chodzić brudne i obdarte. A ja wszak mam takie śliczne sukienki!... Kiedy sprawiam coś lub szyję dla małej Basi, którą będę się opiekowała, dopóki tylko będę mogła, tak bardzo jestem szczęśliwa! — mówiła Marynia, a twarzyczka jej jaśniała szlachetnym zapalem.

— Jakaś ty dobra, Maryniu! — zawołały Julcia i Wandzia.—Jakże pragnęłybyśmy naśladować cię! Dotychczas nigdy nie pomyślałyśmy, że te biedne dzieci, takie blade i nędznie odziane, które widzimy na ulicach Warszawy, mogłyby choć trochę być szczęśliwsze, gdybyśmy się zajęły ich losem.

— O jakież byłyśmy samolubne, jakie niedobre! — mówiła z żalem Wandeczka.

— Możecie to naprawić, pracując teraz z większą gorliwością dla małych biedaczków— odparła Marynia.

— Ależ i owszem, i owszem!—wołały siostry, całując serdecznie Marynię.

— Ty nam powiesz, komu mogłybyśmy dopomagać, a p. Marta nas nauczy, jak szyć koszulki i sukienki — mówiła Julcia.

Długo jeszcze rozmawiały przyjaciółki w tej sprawie. Siostry Julcia i Wandzia zapalały się coraz więcej do szlachetnej pracy. Uradzono, że Marynia, jak dotychczas, będzie opiekowała się Basią, Julcia będzie szyła bieliznę i sukienki dla starszej siostrzyczki Basii, a Wandzia dla małego jej braciszka. Potem siostrzyczki pobiegły do rodziców swych, aby im powiedzieć o swym zamiarze i zapytać o pozwolenie. Państwo L. z rozczeniem i radością przyjęły prośbę Julci i Wandzi i pozwolili, aby córeczki ich wspierały biedną rodzinę, którą poznała już Marynia.

Na drugi dzień Julcia i Wandzia wstały wcześniej, niż zwykle. Każda chwila wydawała im się teraz drogą. Po skończonych lekcjach, oglądały swe sukienki, bieliznę, książki i zabawki; a co chwila biegały do mamusi, prosząc, aby i to można było zanieść biednym dzieciom. Spora

paczka rzeczy była już przygotowana i siostrzyczki były prawie gotowe, gdy przyjechała Marynia.

— Śpieszmy się — zawołała — panna Marta czeka na nas w dorożce.

W małej izdebce na poddaszu mieszkał z żoną i trojgiem dzieci Michał Kopyto, dawniej szewc, teraz biedak nieszczęśliwy sparaliżowany.

Odkąd on rozchorował się, cała rodzina cierpiała wielką nędzę, bo na jej potrzeby pracowała tylko matka, kobieta wątła i słabowita.

Michałowa chodziła do prania i nie było jej w domu, gdy trzy panienki z nauczycielką weszły do izdebki.

Smutny widok przedstawił się ich oczom. Małe okienko w dachu, oblepione lodem, słabe rzucało światło na pokoik. Przy kominie, na którym dogasał już ogień, bawiło się dwoje dzieci: pięcioletnia Basia i młodszy od niej braciszek. W kącie, na lichem posłaniu, obok ściany, na której szron bielał, leżał nieszczęśliwy, chory ojciec rodziny, mizerny i blady. Dziewięcioletnia Frania, starsza siostra Basi, poprawiała ojcu poduszkę.

Wejście nieznanomych pańienek oneśmieliło całą gromadkę. Trwało to jednak krótko, bo

mała Basia zobaczyła stojącą w progu Marynię i, wyciągając do niej rączyny, biegła już, wołając:

— Panienska Malinia idzie!... Panienska Malinia!...

I w tej chwili w ponurej izdebce zapanowała radość. Twarz chorego rozjaśniła się, wyciągnął spracowaną dłoń do Maryni i serdecznie witał dziewczeczkę i jej nauczycielkę. Marynia, całując Basię, która zarzuciła jej na szyję rączyny, pytała chorego o zdrowie.

— Źle, panieniusiu — mówił słabym głosem Michał. — Zima daje mi się we znaki. Nie wiem, czy długo już pociągnę, a chciałbym jeszcze trochę pożyć, żeby chociaż Franię czytać nauczyć; ona potem młodsze rodzeństwo nauczyłaby. Matka czasu nie ma, a ja, choć niedołęga i podnieść się sam nie mogę, to przecie nauczę je czego, a porządku tu i tych trojga dzieciaków przypilnuję.

Panna Marta tymczasem rozmawiała z Franią.

— Zimno tu u was okrutnie — mówiła. — Czemu ognia pod komin nie dołożysz, Franiu, już wygasa. Przeziębicie się, a i dla ojca chorego to niedobrze — dodała troskliwie nauczycielka.

— Nie mamy już węgla, panienko—odrzekła Frania. — Mama niewiele zarobiła, a kupowaliśmy lekarstwo dla taty, reszta na życie poszła.

Panna Marta wyjęła nieznacznie portmonetkę i podała parę monet Frani, która wybiegła zaraz i powróciła wkrótce, niosąc trochę drewek i węgla. Julcia i Wandzia łzy miały w oczach. One nie wiedziały nawet, że są ludzie na świecie tak bardzo biedni.

— Może panienki raczą spocząć — odezwał się chory, patrząc na Julcię i Wandzię. W tej chwili przypomniał sobie, że tylko jeden stołek był wolny, na drugim siedziała Marta.

— Ba, zapraszam do siedzenia, kiedy niema na czym — rzekł, wzdychając. — Kiedyś inaczej u nas było — dodał i łzę rękawami koszuli otarł.

— To są moje przyjaciółki — rzekła Marynia, wskazując na Julcię i Wandzię. — Pragnęłyby osłodzić waszą dolę i dlatego z nami przyszły — dodała panna Marta.

— O niech wam Bóg błogosławi za wasze zacne serca! — mówił chory. — Spokojniej umierać będę, kiedy dzieci moje mają takie opiekunki...

Za chwilę panienki wypakowały przyniesione rzeczy, a Frania dorzuciła ognia na kominie.

I jaśniej i cieplej zrobiło się w biednej izdebce. Ogień trzaskał wesoło, weselej jeszcze wykrzykiwała dziatwa, ciesząc się każdą drobnostką, którą wyjmowały z paczki panienki. Lalki i książeczki wprowadziły je w zachwyty.

Chory, patrząc na uciechę swych sierot, mówić nie mógł ze wzruszenia i tylko łyzy ocierał. Były to jednak łyzy radości i wdzięczności serdecznej.

W tej chwili biedna rodzina zapomniała o nędzy swej, o głodzie, który im często dokuczał, o chłodzie, z którego sztywniały im członki. Uśmiechy radości rozjaśniały wybladłe twarzyczki dzieci. Radość panowała ogólna.

Panienki mierzyły przyniesione sukienki, bawiły się zabawkami razem z biedną dziatwą, śmiały się i dokazywały.

Panna Marta rozkładała na stole kupione przez nią bułki, wędlinę, cukier i herbatę oraz pierniki dla dziatwy.

— Każde z was będzie miało dwie mamusi — mówiła, śmiejąc się, do Frani Julcia — jedną mamusię rodzoną, drugą narzuconą. Ja będę twoją mamusią narzuconą. Czy zgoda, Franiu?

— Dobrze, dobrze, panienusiu droga — odrzekła wesoło Frania i podniosła rączkę Juli do ust. Ale Julcia wyrwała ją i ucałowała Franię w buzię.

— Taki honor należy się tylko mamusi rodzonej — rzekła Jula.

— A czyjaż ja będę mamą narzuconą? — zapytała p. Marta. — Dzieci więcej niema, więc

już pan Michał musi zostać moim synkiem. Synek musi mię słuchać, więc weźmie tę butelkę wina starego, którą mu przyniosłam, aby się wzmacniał na siłach. A tu jest polewica także dla niego; dobra i dłużej poleżeć może. Dzieciaczki niech jedzą szynkę i serdelki — mówiła panna Marta i podała choremu szewcowi wino i wędliny.

— Ale to późno już—rzekła z zakłopotaniem, patrząc na zegarek. — Tam rodzice mogą być niespokojni, trzeba wracać.

Wyszły, serdecznie pożegnawszy biedną gromadkę. Na schodach Julcia i Wandzia rzuciły się na szyję Maryni i wyściskały ją tak gorąco, jak nigdy. Marynia wiedziała, dlaczego całują ją tak serdecznie. Od tej chwili przyjaciółki kochały się jeszcze bardziej, bo je łączyły wspólna praca i wspólne myśli szlachetne.



KRASNOLUDKI.

Była to chwila poobiednia w niedzielę. Drobnny deszczyk padał na dworze, więc dzieci musiały pozostać w pokoju. Rodzice poszli do krewnych, służące na nieszpory do kościoła. W domu pięcioro dzieciarni bawiło się pod opieką starego wujaszka. Czytał im głośno książeczkę o Krasnoludkach, ale wkrótce znużył się i spać mu się zachciało.

— Słuchajcie, baki — rzekł wujaszek, siadając na bujającym fotelu — bawcie się sami, w co wam się podoba, a ja się zdrzemnę.

— Dobrze, wujciu, dobrze! — zawołały dzieciaki. — Zabawimy się w Krasnoludków.

— Niech będzie i w Krasnoludków — mruknął wujaszek nawpół senny i przymknął powieki.

Dzieci, nie tracąc czasu, zabrały się do roboty. Micia z czerwonego papieru robiła dla

całej piąteczki śpiczaste kapturki na głowę. Malcia wyjmowała kąpielowe czerwone spodełki swych braciszków, a Bolo, Dolo i Fredzio nakładali je pośpiesznie.

— Wy tak, jak my, musicie się ubrać — rzekł Dolo do sióstr — u Krasnoludków dziewczynek niema, musicie być chłopcami także.

— Ale skąd wziąć ubranka? Jest tylko trzy pary czerwonych spodeniek — mówiła zafrasowana Malcia. — A, już wiem. Ty, Dolu, dasz mi swoje, a sam będziesz ślimakiem. Ślimak będzie doradcą i koniecznie jest potrzebny wśród Krasnoludków. Micia zrobi sobie ubranko z chusteczki niani i wszystko będzie w porządku.

Przyjęto radę Malci bez sporów i za chwilę czterech Krasnoludków wywijają hołubce po pokoju.

— Trzeba jeszcze ubrać ślimaka! Ale jak?... — Dolo stał z posępną miną na środku pokoju. Wszyscy poczęli teraz namyślać się nad dolą ślimaka, który nie miał skorupy.

— Mam! mam puklerz dla ślimaka! — zawołała nagle Micia tak głośno, że aż wujaszek podskoczył na fotelu i mruknął coś przez sen.

I Micia wyciąga z szafy gorset mamy. Wkłada go na Dola tak, że tylko głowa i nogi mu wyglądają, ręce w gorsecie są schowane.

Dolo chce zaoponować, ale Krasnoludki tłumaczą mu, że żaden ślimak rąk nie ma i tylko głowę i nogę może wysuwać ze swej skorupy.

— Ty masz głowę i aż dwie nogi na wierzchu — tłumaczy Micia — bądźże zadowolony. —

Dolo przyznaje, że siostra ma rację i nie próbuje już rąk wyciągać, choć bez nich jest mu trochę niewygodnie.

— Teraz Krasnoludki muszą się skryć do groty podziemnej, gdzie mieszkają — woła Malcia i wsuwa się pod fotel wujaszka.

Wszystkie Krasnoludki idą za jej przykładem i tylko ślimak pozostaje obok, gdyż tak ciasno jest w grocie, że on w swej skorupie nie może się tam pomieścić.

Cisza zapanowała w pokoju i przez chwilę słyhać było tylko ciężki oddech wujaszka. Ślimakowi nudzi się stać tak samotnie, więc woła:

— Dopóki tak będziecie siedzieli skuleni? Wujcio czytał nam, że Krasnoludki nigdy nie próżnują, zawsze czemś są zajęte.

— Prawda — przyznają Krasnoludki. — Powinniśmy wyświadczać ludziom różne przysługi.

I nuż gramolić się z pod fotelu. Teraz każdy myśli, jaką sobie pracę obierze.

— Ja będę zamiatał izbę gospodyni — rzecze Bolo i biegnie po szczotkę do kuchni.

— My z Micią wyprawimy śniadanie i zaprosimy na nie ślimaka — mówi Fredzio.

— A to ja tymczasem dziecko gospodyni uczeszę, tak jak to było w bajeczce — woła Malcia. Dziecka niema w domu, więc śpiący wujaszek chyba je zastąpi. Ale co tu czesać?... Wujaszek nie ma włosów, tylko ogromną łysinę.

Malcia zamyśla się chwilę, potem pyta stojącego obok Dola.

— Słuchaj, ślimaku, czy nie wiesz co Krasnoludki robią, gdy dziecko włosów jeszcze nie ma? Jakże je czeszą?...

— Pewno mu je przyprawiają. Albo ja wiem? — odpowiada z powagą ślimak.

Malci przychodzi znakomita myśl do głowy, więc biegnie do sąsiedniego pokoju i wkrótce wraca ze szczoteczką od zębów umoczoną w farbie. Przystawia do fotelu krzeselko, wspina się na nie i, pochyliwszy nad głową wujcia, czesze go za wzięcie.

W tej chwili powrócili rodzice do domu i mama wchodzi do dzieciennego pokoju.

Bolo w czerwonych, kusych spodeńkach i czerwonym kapturku uwija się ze szczotką po pokoju, udając, że babie izbę zamiata. Fredzio i Micia w takimż zabawnem ubraniu siedzą przy małym stolczku, zakrytym ręcznikiem. Dolo



Краснолудки,

pękaty, jak bawelny kłębek, w sznurówce mamy, chodzi około wyprawionej uczy, a Malcia czesze wuja, który już ma zupełnie głowę czarną, ale drzemie wyciągnięty w fotelu z nawpół otwartymi ustami. Widok był tak zabawny, że mama wybuchnęła śmiechem. Nadbiegł tatuś i rodzice oboje tak serdecznie i głośno się śmiali, że aż się wujaszek obudził, otworzył oczy i zapytał:

— Co to? Co to?

— Bawimy się w Krasnoludków — wołają dzieci i biegną uściskać rodziców.

Wujcio też podniósł się z fotelu. Zdziwiony przygląda się przebranym dzieciakom, gdy wtem spojrział w lustro i, wesołym wybuchając śmiechem, woła:

— A to kto?... Co to za młodzieniec z czarną czupryną? To wy, bąki, takeście mnie wymalowały?...

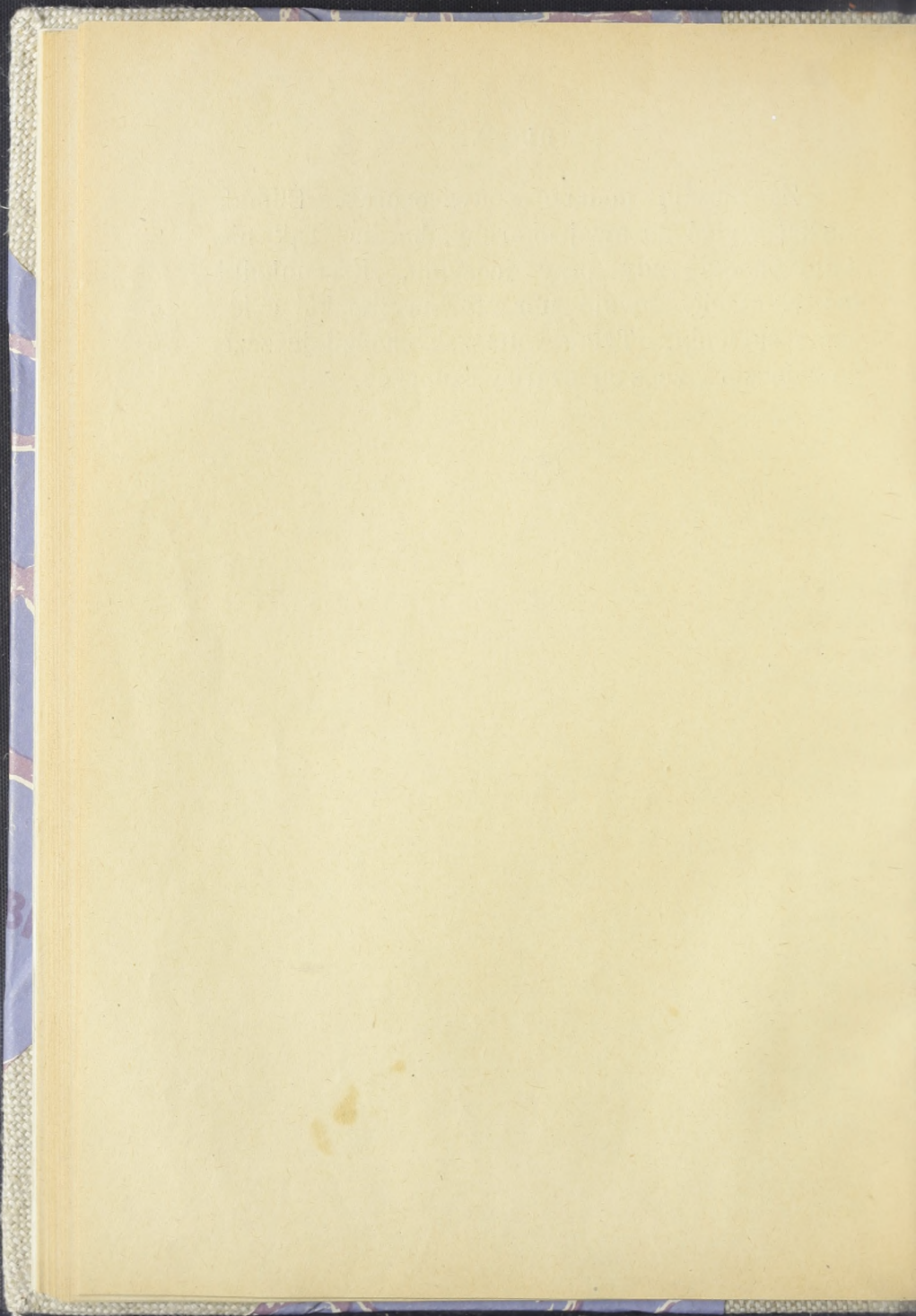
— To nie my, to nie my — krzyczy Malcia, zarzucając rączki na szyję wujaszka — to Krasnoludki, wujciu, boś ty był dzieckiem i włosów nie miałeś.

— Doskonale bawiliśmy się, wujciu — woła Bolo. I ręce wujcia dzieci ściskają i całują.

— A ja doskonale spałem — mówi wujcio i znów się roześmiał, bo znowu ujrzał wyczerzoną swą łysinę w lustrze.

Za chwilę podano podwieczorek. Ślimak musiał wyjść ze swej skorupy, bo bez rąk nie dałby sobie rady przy jedzeniu. Krasnoludki też zamieniły swoje ubrania na zwykłe dzieciinne sukienki. Tylko wujaszek chodził jeszcze do wieczora ze swą czarną czupryną.





MUCHA.

Wysoko nad oknem, za jedną nóżkę przyczepiona do tapety, wisiała mucha. Na dworze wichry zimowe wyśpiewywały różne melodie; śnieg padał i zabielał pola, łąki, drzewa i domy, to znów tajał i ukazywała się ziemia szara, odarta z kwiatów i trawy.

Wszystkiego tego jednak nie widziała mucha. Nic ją nie obchodziło, co się naokoło niej dzieje. Przyczepiona do tapety, spała tak mocno, że możnaby jej dotykać i jeszczeby się nie obudziła.

Nadeszła wiosna. Ciepłym swym oddechem ogrzała ziemię, zbudziła śpiące pod zimową powłoką trawki, stopiła lody na rzece i wszystko wróciło do nowego życia. Przebudziła się i śpiąca nad oknem mucha. Przednimi łapkami przetarła oczka, tylnymi dotknęła skrzydełek, jak gdyby niepewna, czy jej kto w czasie zimowego

snu nie poobrywał tych przyrządów do lotu. A przekonawszy się, że wszystko jest na swoim miejscu, frunęła i siadła w oknie, aby się ogrzać w słońcu i pewno nacieszyć jego blaskami.

Uczuła jednak, że skrzydelka jej ciężą, że ciało całe pokryte jest kurzem. Trzeba oczyścić się koniecznie.

Mucha nie lubi najmniejszego pyłku na sobie. Dalej więc szorować się i wycierać: łapkami zgarniać brud z główki, ze skrzydełek i z szarego odwłoku.

Przezroczyście skrzydelka prędko oczyściła, ale z głową dużo było roboty. Na niej miała mucha dwoje ogromnych oczu, a każde z nich składało się z czterech tysięcy małych oczek.

Prócz tego na czole były jeszcze trzy oczka niewielkie, jak na mały lebek muchy.

Co chwila więc zakładała kosmate, małemi włoskami porośnięte łapki na głowę i ścierała nimi pył; potem nóżki znów opuszczała i tarła je jedną o drugą, aby nabrany brud zrzucić.

Nareszcie skończyła. Z radości wskoczyła na szybę i zaczęła tańczyć wesoło. Tam, za oknem, było już tak ciepło, tak jasno!...

Wiem... „bzz!... bzz!...“ słyszy tuż koło siebie.

— Co to? — myśli mucha, a w głowie tak

jej się kręci od szybkiego tańca, że nie wie nawet, skąd głos ten do niej dolatuje.

— Bzz!... bzz!... — znowu woła za nią jakaś mucha duża z ciemno-błękitnym odwłokiem i błyszczącymi skrzydełkami.

— Bzzz!... ach, przestań już tak tańczyć— jęczy mucha—i powiedz, czy pająka tu niema?...

— Co ci się stało? — pyta zdziwiona mucha szara.

— I po co myślisz o takich brzydkich stworzeniach, jak pająk. Widzisz, jak słońce ładnie świeci i jak jest wesoło na świecie? Potańcz sobie lepiej tak, jak ja.

I już ustawiła trzy pary swoich nóżek, aby znów szalony rozpocząć taniec, kiedy duża błękitna mucha zabrzęczała:

— Okropne przygody, bzz!... okropne!... i to tak jedna za drugą...

Szara mucha zaczęła słuchać zaciekawiona, a błękitna skarżyła się dalej:

— Kończyłam już składać swe jajeczka na mięsie, które w kuchni znalazłam, kiedy nagle wpada kucharka, chwytą mięso z miską i wrzuca je do gorącego garnka wraz z mojami ślicznymi jajkami.

Uciekłam naturalnie, gdyż para o mało nie oparzyła mi skrzydeł. Siedzę nad kominem

i myślę, że cała praca moja na nic, bo z jajeczek nie wylęgną się już białe robaczki, co się potem mają zamienić w takie, jak ja, piękne, błękitne muchy.

Aż tu znowu widzę, że ta sama służąca zbliżyła do mnie ogromną miotłę na długim kiju. Podnoszę skrzydełka i co tchu na drugą ścianę. Ona za mną. Ja na sufit — miotła i tu mnie dosięga. Już nie wiedziałam, dokąd uciekać i siły mi brakło, kiedy drzwi się otworzyły.

Wpadam przez nie i chcę usiąść w najciemniejszym kąciuku, kiedy... ach, moja kochana, wyobraź sobie przerażenie moje: wpadam w sieć pająka!...

— No, i cóż się stało? — pyta szara mucha — nie zjadł cię ten okrutnik?

— Niewiele już, niewiele brakło — kończy mucha błękitna — a zginęłabym w szponach żarłoka.

Widziałam jego długie nogi i słyszałem jęki jakiejś biednej muchy, której krew wypijał.

To mnie ocaliło. Był tak zajęty swą ucztą, że na mnie nie zwrócił uwagi. Szarpnęłam silnie raz i drugi i wyrwałam nóżki z pajęczyny.

Pająk tam zły być musi okrutnie, bo pewno pajęczynę mu zerwałam. Uciekałam później, co mi tchu starczyło i teraz ciągle zdaje mi się, że widzę jeszcze tego drapieżnika.

Moja przyjaciółko, obejrzyj się, czy go gdzie tu niema...

Szara mucha spojrziała bojaźliwie. Nigdzie pajaka nie było.

— Uspokój się, biedaczko — rzekła do swej krewnej — i radzę ci na przyszłość, nie składaj już jaj na mięsie. My, szare muchy, znosimy je w nawozie w stajniach i oborach. Niemilo to jest wprowadzić, ale za to kucharki nie gotują ich razem z mięsem.

Po kilku godzinach wylęgają się małe białe robaczki, z nich tworzą się poczwarki, z których po paru dniach wychodzą już porządne muchy, a choć szare, nie o błękitnym, jak twój, odwłoku, to przecież nie znoszą brudu i najlepiej lubią przebywać w pokojach.

— Nie lepsza jest i wasza dola — odparła z westchnieniem mucha mięsna. — Wasze poczwarki zjadają kury, wróble i tym podobne stworzenia na śniadanie, na obiad i na kolację.

— I to prawda, ale...

Szara mucha pokojowa chciała coś jeszcze powiedzieć, gdy nagle przypomniała sobie, że nic jeszcze nie jadła, a była bardzo głodna. Pożegnała więc towarzyszkę i poleciała w stronę, skąd dolatywał ją zapach różnych specjalów.

Na stole stał miód, na kloszu leżały ciastka,

a przed chwilą wniesiono tacę z filiżankami, z których unosił się miły zapach czekolady.

Mucha usiadła na talerzyku z miodem, trąbkę w miód zanurzyła i ssała długo i chciwie. Potem obeszła koszyk z ciastkami, a oczy śmiały jej się z radości na widok tyłu przysmaków.

Chciałaby zjeść to wszystko, a że nie da rady, to chociaż spróbuje wszystkiego.

— Ta czekolada, naprzykład, bardzo ładnie pachnie — mówi do siebie mucha — i pewno smaczną być musi; trzeba spróbować koniecznie.

Rzekłszy to, złata nad jedną z filiżanek. Ale w jednej chwili gorąca para otacza ją całą, parzy nóżki, skrzydelka.

— Ratujcie! ratujcie!... — woła i pada om-
dlała w środek gorącego płynu.

Gdy przyszły dzieci na śniadanie, ujrzały, jak na czekoladzie z szeroko rozpostartymi skrzy-
dłami leżała mucha.

— Biedna mucha! — wołały jedne.

— Dlaczego była taka łakoma! — powie-
działy drugie.

Któreś z dzieci skarżyło się, że zaledwie wiosna się rozpoczęła, a muchy już dokuczają i nieproszone wlażą wszędzie.

Wszystkiego tego nie słyszała nasza mucha.

Pośrodku filiżanki czekolady leżała nieżywa.

RODZEŃSTWO.

Jakiś ty dobry, Piotrusiu! — zawołała dziewięcioletnia Frania, biorąc z rąk brata piękne, czerwone jabłuszko. — Co? i to dla mnie? Ależ to być nie może! Ta śliczna książeczka, ten kajet i ten ołówek... Piotrusiu, braciszku drogi, skąd ty wzięłeś to wszystko? O, jakże jestem szczęśliwa!...

Mówiąc to, Frania zarzuciła rączki na szyję brata. Piotrusiowi, na widok uciechy siostry, łzy cisnęły się do oczu z rozrzewnienia.

— Poczekaj, to jeszcze nie wszystko — powiedział, przybierając poważną minę i panując nad sobą. Oto chusteczka na głowę dla mamy i szalik dla tatusia; oddasz im to ode mnie, gdy powrócą z roboty.

Frانيا patrzyła na podarunki brata szeroko otwartymi oczyma, tak była zdziwiona, a on mówił dalej:

— Widzisz, Franiu, pan, u którego służę, ten stary fabrykant, zawołał mnie wczoraj do siebie, dał rubla srebrnego i powiedział, że zadowolony jest ze mnie, bo mu dobrze usługuję i że odtąd zawsze co miesiąc, tyleż będzie mi płacił. Za pierwsze więc zapracowane pieniądze kupiłem wam te drobiazgi, a książeczkę dla ciebie i kajet, abyś się uczyć mogła... Przychodź do mnie tutaj, zaraz po południu. Wtedy pana niema, a ja mam trochę czasu wolnego, będę ci więc pokazywał i nauczę choć tyle, ile sam umiem...

Uczyć się!... Toż to było najgorętszem pragnieniem dziewczynki.

Biedna Frania, gdy rodzice jej wychodzili rano do fabryki do roboty, uprzątała izbę, zmywała statki, a potem siadała przy małym okienku i na kawałku gazety usiłowała nauczyć się czytać.

Trudno to szło i bardzo pomalu, bo litery plątały się co chwila. Nie rozumiała, o czym czyta. Często nawet musiała zaglądać do starego elementarzyka, aby tam wyszukać taki sam wyraz, jakiego przesyłabizować nie mogła. Teraz nie będzie potrzebowała tak się męczyć... Piotruś pokaże jej, nauczy, wytłumaczy... On przecie chodził przez dwa lata do szkółki, musi więc dużo, dużo umieć.

To też odtąd zaczęły się lekcje, Frania z niecierpliwością oczekiwała godziny, którą jej brat na naukę wyznaczył, i zaraz biegła ze swej suteryny do sąsiedniej kamienicy, gdzie, w małym przedpokoju swego pana, oczekiwał na nią Piotruś.

Był tam stół i krzeselko. Drugie przynosił Piotruś z pokoju, lub też siadał na tem jednym, a ją brał na kolana i rozpoczynała się nauka.

Frانيا starała się myśli brata odgadywać i uważała na każde jego słowo. On z cierpliwością i dobrocią poprawiał źle przeczytane wyrazy i lekcja upływała, jak jedna miła chwilka.

Dziewczynce żal było zwykle rozstawać się z bratem; chciałyby uczyć się dłużej, lub chociaż posiedzieć z nim razem, ale lękała się, aby pan nie nadszedł.

Bała się go zobaczyć nawet.

Słyszała, że był bardzo surowy i gwałtowny. Przytem, wychowana w suterynie, zawsze prawie samotna, nieśmiałą była z natury, wolałyby więc nie spotkać tego obcego, nieznanego człowieka.

Tak upływały dnie za dniami. Lekcje szły bez przeszkód i dziewczynka skorzystała już wiele.

Raz, jak zwykle, wbiega Frania na piętro i lekko do drzwi stuka, ale te się nie otwierają.

Wola więc i ucieszona, że za chwilę zobaczy ukochanego braciszka, stuka mocniej raz, drugi i trzeci... Nasłuchuje...

Wtem kroki dają się słyszeć, drzwi się otwierają i staje w nich Piotruś, ale bardzo smutny i zapłakany.

— Co ci się stało? — pyta zatrwożona.

— Chodź, zobacz! — odpowiada.

I, zamknąwszy drzwi, prowadzi ją do sąsiedniego pokoju.

Tam na krzeselku leżała złamana fajka pana fabrykanta.

— Pękła mi w rękę, gdym ją czyścił — tłumaczył się zmartwiony chłopiec. — I teraz pan wyrzuci mnie z domu napewno... Zapowiedział mi, że za pierwszą szkodę, jaką zrobię, surowo karać będzie. Biednaż moja dola!...

I oczy zakrył rękoma.

— Nie martw się, braciszku drogi! — pocieszała serdecznie Frania. — Może poradzimy co na to... Ja cię nie opuszczę i będę prosiła pana fabrykanta, aby ci przebaczył.

— O, nie! — odparł Piotruś, spoglądając ze smutkiem i miłością na siostrę. — Nie chcę, abyś przeze mnie cierpiała. Idź lepiej do domu! Pan mówił, że niedługo powróci. Gdyby cię tu

zastał, mógłby się na ciebie gniewać. Idź! — nalegał. — Lekcji dzisiaj nie będzie.

— Ja nie chcę lekcji, kiedyś ty, Piotrusiu, tak zmartwiony... C, nie wyjdę stąd i nie zostawię cię samego.

W tej chwili w przedpokoju rozległ się dzwonek.

— O, Boże! to pan powraca — szepnął drżącym głosem Piotruś i wybiegł szybko, aby drzwi otworzyć.

Frania została w pokoju sama.

Na myśl, że za chwilę wejdzie tu pan, którego bała się tak bardzo, zadrżała i zbladła ze strachu.

Bezwiednie chwyciła fajkę w obie rączki i wcisnęła się pod biurko.

Z tego ukrycia usłyszała, jak pan mówił do Piotrusia:

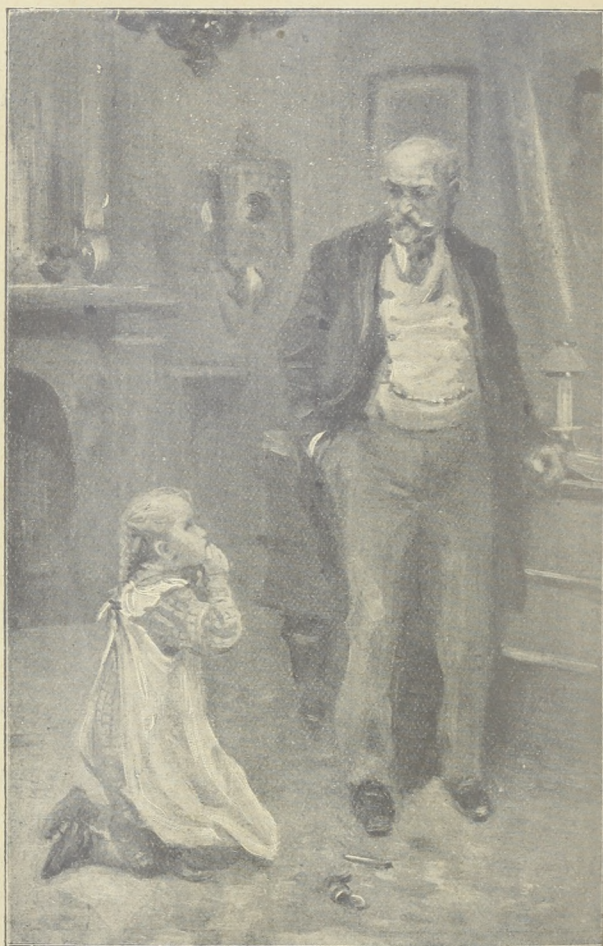
Zejdź na dół, rozmień te pieniądze i zapłać dorożkarzowi, który czeka przed bramą.

Słyszała, jak Piotruś zaczął coś niewyraźnie mówić i jak pan mu przerwał, krzyknawszy:

— Idź natychmiast! nie pytam się o nic!

Drzwi stuknęły... To pewno Piotruś, brat jej, wyszedł spełnić rozkaz pana. Nagle dziewczynce myśl jakaś błysnęła do głowy...

Zapanowała nad swoim przerażeniem i już



Rodzeństwo.

wychodziła ze swego ukrycia, gdy do pokoju wszedł pan.

Zdziwienie na widok nieznanego sobie dziecka odbiło się w jego oczach.

— A ty co tu robisz w moim pokoju? Kto jesteś? Pociś przysła — pytał rozgniewany, surowo patrząc na małą. — Co to? — krzyknął głośnie — pociś moją fajkę? O, tego już nie daruję.

I, nie czekając odpowiedzi, szarpnął dziewczynkę za rękę, ścisnął, że aż kostki zachrupały i, wstrząsnawszy nią parę razy, wypchnął do przedpokoju gwałtownie.

Frania, choć ból poczuła w ręce, głosu nie wydała nawet, nie zapłakała, myślała tylko:

— To dla Piotrusia, dla braciszka mego! — i oczka wzniosła ku górze.

Milczenie dziecka zdziwiło widocznie pana, a może żal mu się zrobiło tego biedactwa bladego i napół żywego ze strachu i bólu, a tak jednak męznego.

Podszedł więc bliżej, popatrzył na Franię chwilę i łagodniej już zapytał:

— Skąd się tu wzięłaś?

Dziewczynka, zamiast odpowiedzi, rzuciła się przed nim na kolana i, składając błagalnie ręczęta, zaczęła prosić:

— Panie, daruj memu braciszкови, nie karz go za złamanie fajki! Ja już za niego przecierpiałam... Ukarz mnie, jeżeli chcesz, tylko na niego się nie gniewaj!... Przebacz Piotrusiowi!..

I potok gorących łez spłynął po jej wybladłej twarzy.

Zrozumiał pan, co się stało: ta mała dziewczynka sama zniosła bez jęku, bez słowa skargi niezasłużoną karę, aby obronić brata swego.

— Jakież to dobre, jakie szlachetne serduшко bije w tem dziecku!.. — pomyślał. Tak piękny czyn musiałby wzruszyć najbardziej złego człowieka. Stary fabrykant złym nie był, tylko niecierpliwym.

Z całego też serca żałował teraz swego uniesienia; ocenił dobroć serca małej Frani i prośbę jej przyjął z rozczuleniem.

.....

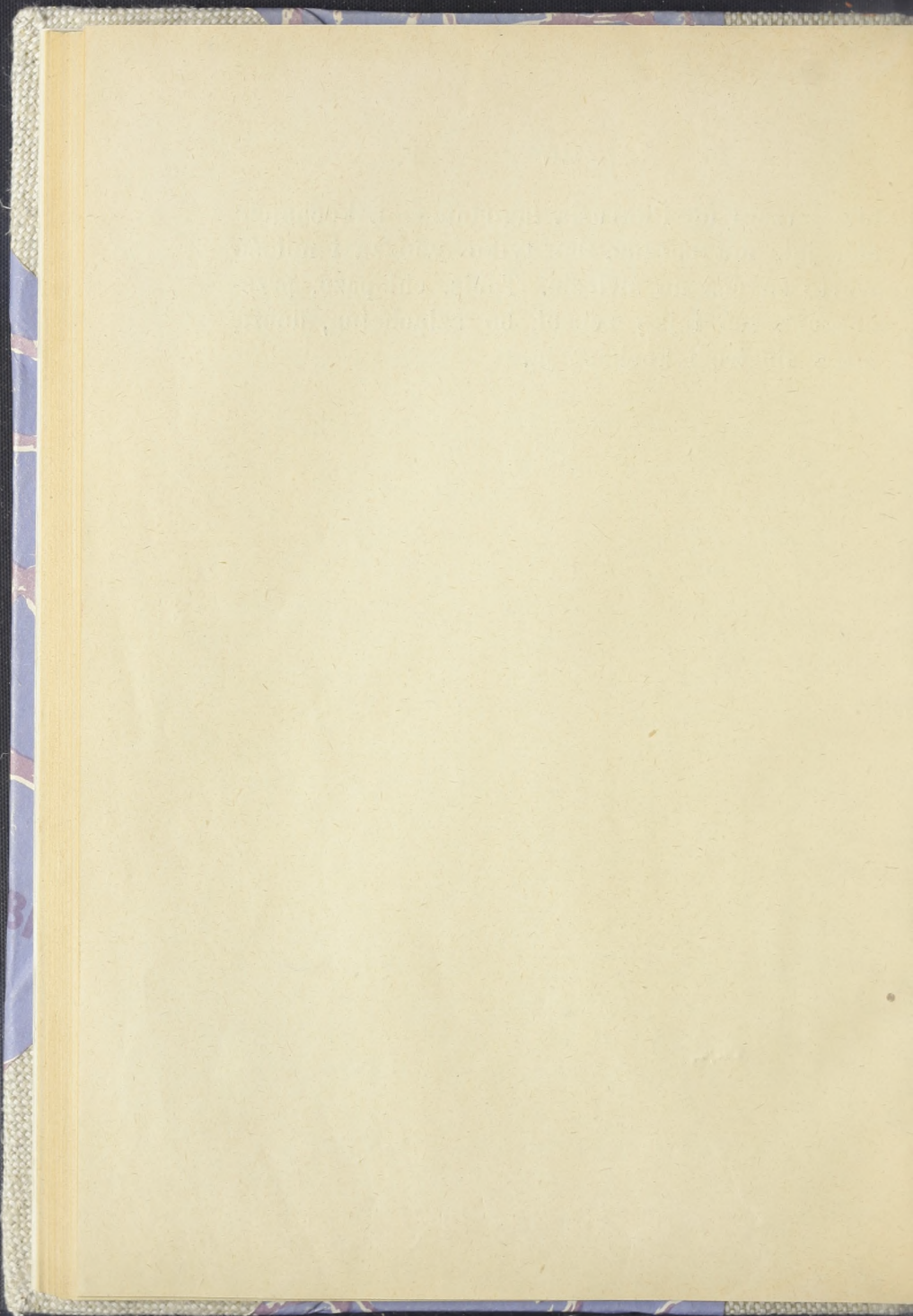
Gdy wrócił Piotruś, ujrzał siostrę siedzącą w pokoju obok pana. Opowiadała mu, jaki Piotruś jest dla niej dobry, jak ją uczył..

Pan gładził jej włoski i spoglądał na nią przyjaźnie.

— No, uczcie się i nadal; ja wam nie bro-

nię — rzekł do Piotrusia łagodnie — a kochajcie się, jak dotychczas, bo tylko wiedza i miłość warte są coś na świecie. Tobie, chłopcze, przebaczam, żeś fajkę zepsuł, bo szlachetną, dobrą masz siostrę i kochasz ją.





NA WIEJSKIM CMENTARZU.

Olaboga ojej! ojej! — jęczy zasapana Marysia, wpadając, jak bomba, na ganek domu, gdzie z dwojgiem dzieci siedziała pani Łącka.

— Co ci się stało, Marysiu? — pyta pani z niepokojem.

— Co się stało? — wołają Mirusia i Broniś Łąccy.

-- Może zbóje w drodze cię napadli? — dodaje zaciekawiony Broniś, który od starej niani nasłuchał się bajek o zbójach i często o nich myślał.

— Oj, nie zbóje, paniczku, ale jeszcze gorzej—odpowiada wystraszona dziewczyna. — Oj, proszę pani, takem się wylękla!... Tam dusza jakaś straszyl... Ledwie, że uciekłam i kto wie, czy sprawunków, co z miasta niosę, nie pogubiłam.

— Co takiego? jaka dusza?... gdzie?—pyta znowu pani Łacka.

— Dusza, proszę pani, pewno jakiegoś nieboszczyka... taka straszna, czarna... tam, przy drodze samej... na cmentarzu—tłumaczy Marysia, stawiając koszyk ze sprawunkami na podłogę i odychając ciężko.— Zatrzymali mię w miasteczku, bo w sklepach ludzi, jak w kościele, no i spóźniłam się — kończy, oglądając się w stronę wioski — spóźniłam się, wieczór zapada, a tu droga koło cmentarza prowadzi, więc myślę, jak to będzie i już paclerze odmawiam, wtem patrzę... a tu na mogile koło parkanu coś się porusza... Oj, proszę pani, to jakaś dusza, taka kudłata, czarna!...

— Jaka tam dusza! — wtrąca stary Grzela, wieśniak, który, przechodząc koło domu państwa Łackich, ostatnie słowa Marysi słyszał i domyślił się, o co chodzi. — To nie żadna dusza, proszę łaski pani, jeno pies czarny, kudłaty — rzekł, zwracając się do mamy Bronia i Mirusi.

— Pies?—spytały dzieci i podniosły główki, które w strachu ukryły w fałdach sukni maminej, tak opowiadanie Marysi je wystraszyło. A stary Grzela, pozdrowiwszy grzecznie całą gromadkę, tak dalej prawil:

— Przed trzema dniami zmarł pastuch w są-

siedniej wiosce i pochowali go tutaj, bo tam cmentarza nie mają! Stary był, samotny na świecie i biedny, bo nic nie miał prócz tej kapoty zniszczonej, w której do trumny go złożono, i psa Brysia, co mu trzodę pilnować pomagał. Pies widocznie przywiązany był do swego pana, bo jak tylko ziemią dziad mogiłę pastucha przysypał, Bryś zaraz przy niej się znalazł i nuż nad tą mogiłą wyć przeraźliwie, a ujadać, jak gdyby chciał nieboszczyka ze snu wiecznego rozbudzić. Zaraz na ten hałas dziad cmentarny znów przybiegł i psa łopataą tłukł i bił, aby mu miejsca poświęconego nie znieważał. Ale napróżno: Bryś jak gdyby bólu nie czuł, wyl, ale z mogiły nie schodził. Całą noc na cmentarzu przeleżał. Na drugi dzień dziad znowu odpędzić go próbował, bił sam i chłopcy ze wsi kijami i kamieniami psa wystraszyć mu pomagali, ale i to na nic się nie zdało. Bryś skrył się gdzieś w krzakach pod cmentarzem, kiedy go już bardzo zbili, a za chwilę powracał znów i znów na mogiłę się kładł, tylko już nie wyl i nie skowyczał, jak przedtem. Leżał cichutko. Może się bał ludzi, co na głos jego zbiegali się, a może i siły mu zabrakło, bo przecie od śmierci swego pana w pysku nic nie miał — kończąc opowiadanie, mówił Grzela.

— Biedne psisko!—zawołała pani Łącka.— Ależ takie pocztliwe zwierzę więcej warte jest, niż niejeden człowiek, który przyjaźni dochować nie umie! Czyż nie lepszym jest ten pies od tych, co go biją i nie umieją zrozumieć i uszanować jego przywiązania i szlachetnej rozpacz? I oni uważają, że to stworzenie znieważa miejsce poświęcone. Ależ to niesprawiedliwość wielka!...

— Pewno, że niesprawiedliwość—potwierdził stary Grzela. — Chciałem nawet od śmierci go uratować, bo z głodu tam zdechnie napewno. Wołałem, aby poszedł za mną, chleba kawałek mu pokazałem; ale uciekł, jak tylko bliżej podszedłem, myślał pewno, że i ja go bić będę.

— Biedny Bryś, biedny!—powtarzały dzieci, ogromnie zmartwione—z głodu napewno zdechnie!

— Postaramy się uratować go—rzekła mama. — Zaraz tam pójde i może uda mi się skłonić biedaka, aby do nas przyszedł.

— To, proszę pani, ja mu za panią zaniosę trochę czego z obiadu — prosiła Marysia.

— I my pójdziemy z tobą, mamusiu, weź i nas; jeszcze nie jest bardzo późno! — prosili Broniś i Mirusia.

— A nie boicie się czarnej, strasznej duszy? — spytała, uśmiechając się, mama.

— Nie, nie, mamusiu—odrzekł prędko Broniś, trochę zawstydzony, bo przypomniał sobie, jak przed chwilą wierzył w opowiadanie Marysi i tulił się do matki.

— Już nigdy w strachy nie uwierzę — dodał, a za nim to samo powtórzyła młodsza o rok siedmioletnia jego siostrzyczka.

Mama wzięła kawałek chleba, trochę mięsa i poszli.

Wieczór był ciepły, jasny. Po niebie płynął księżyc blady i srebrnem światłem oblewał uspięcone drzewa, trawy i zioła. Z oddali dolatywało wesole rechotanie żab, a tuż przy cmentarzu, w gąszczu drzew słowik głosił swe pieśni.

Na świeżej mogile biednego pastucha, w kłębek zwinięty, leżał duży czarny pies.

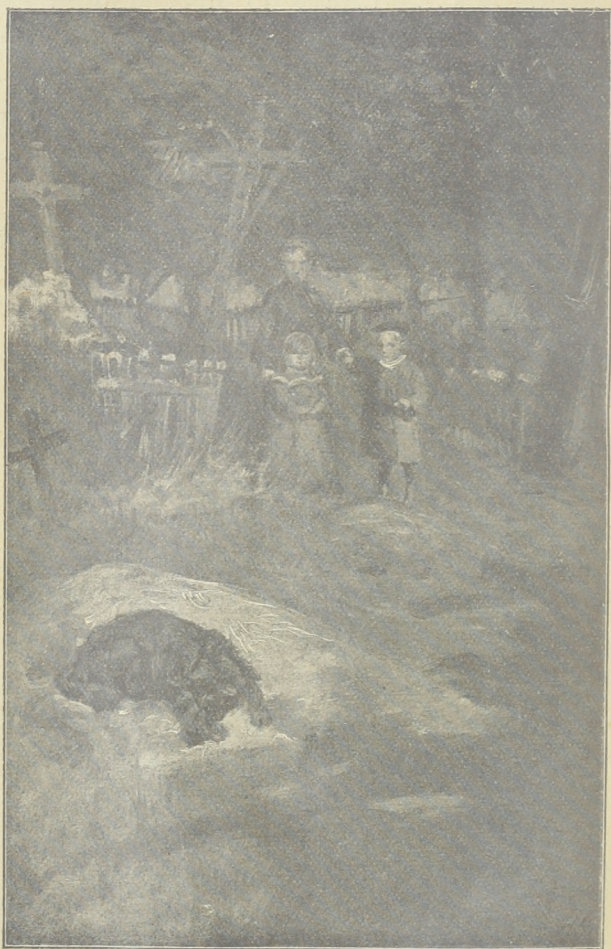
— Brysiu, psisko poczciwe! — rzekła, zbliżając się do niego, pani Łacka.

Pies podniósł się ociężale i wolnym krokiem odszedł od mogiły w stronę parkanu.

— Brysiu, pójdź tu! — wołały dzieci — my ci krzywdy nie zrobimy, pójdź tu! — prosiły.

Bryś zatrzymał się, patrzył chwilę, poruszył ogonem i... powrócił na dawne miejsce.

— Mój Bryś, mój biedny pies — mówił Broniś, gładząc go po czarnych kudłach. — Masz, posil się, biedaku! — i podał mu kawałek mięsa.



Na wiejskim cmentarzu,

Pies wziął ostrożnie datek z ręki chłopczyka, a potem, jakby dziękując za okazane mu współczucie, przyczołgał się do nóg Brońcia, głowę swą do nich przytulił i zaskowyczał żałośnie.

— Jak on żali się i płacze, mamusiu — powiedziała Mirusia, której łzy stanęły w oczach. — Zabierzmy go, zabierzmy stąd biednego sierotę. On już nas się nie boi, może pójdzie za nami.

Bryś rzeczywiście uwierzył, że nie ma przed sobą wrogów. Po chwili podszedł do pani Łackiej i do Mirusi, łasił się i ręce ich lizał, ale nie dał się namówić i nie chciał z nimi powrócić, choć go nawoływali i mięso pokazywali zdaleka. Został przy grobie swego pana i przyjaciela. Nazajutrz rano Broniś i Mirusia zanieśli mu śniadanie, a potem raz jeszcze tegoż dnia odwiedzili go razem z mamą. Bryś brał jedzenie z rąk dzieci i okazywał, że miłe mu są ich pieczyoty; potem odprowadził do furty cmentarnej swych nowych przyjaciół i... powrócił znów na mogiłę pastucha.

Dopiero po paru dniach poszedł za Bronisem i Mirusią do ich domu i pozostał już tam. Dzieci, widząc, że Bryś nie zapomniał jeszcze o swej stracie, bo często wymyka się z domu i na cmentarz biegnie, postanowiły razem z nim codzień odwiedzać mogiłę pastucha. Mirusia zbiera

polne kwiatki, splata je w wianuszek i kładzie na grobie starego biedaka. Broniś obłożył mogiłę kamykami, a Marysia zasadziła tam parę krzaczków lilji i sporo innych kwiatków.

Bryś nie skomli już, gdy przychodzą na cmentarz, macha swym włochatym ogonem, biega wokoło mogiły i kolejno liże ręce dziatwy. Rad jest widocznie i dziękuje za dobroć, okazywaną jego dawnemu przyjacielowi.



JAK BRYŚ ODWDZIĘCZYŁ SIĘ SWYM PANOM.

Minęło sporo czasu i zbliżyła się jesień.

Mogila starego pastucha mieniła się od kwiatów. W blaskach słońca złociły się na niej żółte nasturcje, z pomiędzy nich wychylały różnobarwne główki astry i czerwone, purpurowe prawie gwoździki.

— Patrz, Brysiu, twój pan jak król leży pochowany! Takich pięknych kwiatów na żadnym niema tu grobie — mówił do psa Broniś, gdy przychodzili na cmentarz.

A Bryś machał ogonem, co oznaczało, że bardzo jest zadowolony i, rozumnie oczyma swemi patrząc na chłopca, zdawał się mówić:

— Bardzo ci jestem wdzięczny, bardzo i kocham cię.

Bryś też zmienił się do niepoznania: potłuścił i wyładniał. Czarna, kudłata wełna lśniła

się na nim, oczy płonęły blaskiem żywym a i humor miał wyśmienity.

We wszystkich spacerach i zabawach towarzyszył Mirusi i Bronisiowi i dokazywał z dziećmi wesoło.

W wyścigach zawsze pierwszeństwo zdobywał; zaprzężony do dziecinnego wózka, jak koń, biegł rażno i spokojnie. A zawsze był posłuszny, uprzejmy i do figlów z działawą skory.

O zmartwieniu swem i stracie, zdawało się zupełnie już zapomniał i nie tęsknił, jak dawniej. Czasem wszakże we śnie ukazywało mu się pastwisko z trzodą owiec, które kiedyś pasał, i pan jego dawny, pastuch.

Słońce pali, aż piecze; po zielonej łączce rozsypane owce leniwie skubią trawę; pan leży pod starą gruszą w cieniu i Bryś koło niego, tuż przy nogach.

Za chwilę pan spogląda w stronę owiec i woła:
— Bierz ją!...

Bryś pędzi co ma siły, odnajduje owcę, która od stada się oddala, i zagarnia ją. Owca głupie stworzenie, nie może zmiarkować, o co chodzi, więc Bryś za ucho ją bierze zębami i do gromady prowadzi. Potem znów do pana swego powraca i leży w cieniu starej gruszy, dopóki pan znów nie zawoła:

— Brysiu, bierz ją!

Bryś zrywa się, chce biec za owcą, ale niema ani owiec, ani jego pana. To sen był tylko, a on, Bryś, leży nie pod gruszą, ale w przedpokoju na dywaniku, który mu Marysia usłała; nad nim wiszą palta i odzież.

Jakiś niepokój panuje w psiem sercu Brysia: chciałby gdzieś biec i jest mu bardzo smutno. Na szczęście jest już ranek, służąca nie śpi i za chwilę otwiera drzwi do pokoju, gdzie sypia Broniś. Bryś wślizguje się za nią i tu zapomina o snach, co go trapiły. Zbudzony chłopczyk głaszcze go i pieści. Bryś kocha swego panicza, więc może się czuje szczęśliwym, bo jest z nim razem.

Potem następuje bardzo miła chwila: śniadanie. A takie dobre, o jakim Bryś dawniej nawet nie marzył.

Po śniadaniu Broniś zabiera swą fuzyjkę i idą niby na polowanie, albo oboje dzieci bawią się piłką, a Bryś z miną sędziego przygląda się tej zabawie i chwilami to do Bronisia, to do Mirusi podbiega i skacze bardzo zadowolony.

— Brysiu — powiada raz Broniś — pojutrze opuszczamy wieś. Poznasz teraz Warszawę i zobaczysz, jak w mieście wygląda zima. Co, dobrze, piesku? Ty wolałbyś może, abyśmy tu-

taj pozostali, ale, widzisz, to nie można; uczyć się trzeba, więc musimy jechać do Warszawy— mówi chłopczyk.

Bryś patrzy na niego, kręci łebkiem, ale zrozumieć nie może, co panicz mówi.

Dziwi się także i później, gdy duże kufry, zniesione z góry, napelnia Marysia różnemi rzeczami.

Pochyla kudłatą głową to na prawo, to na lewo, przygląda się i dziwi, co to wszystko znaczy.

A w domu panuje rwetes i krzątania.

Nareszcie wszystko do drogi ułożono. Mamusia, zmęczona pakowaniem, siada na ławce przed domem, aby trochę wypocząć, Mirusia i Broniś siadają koło niej.

— Brysiu, chodź tu!— woła dziewczynka. — O tak, połóż swą głowę u mnie na kolanach, ja cię ślicznie ubiorę.

I wpina w czarne kudły psa gałązki polnych kwiatów.

— Poczekaj — powiada Broniś — zawiążę mu chusteczkę na głowę.

— Ach, jak zabawnie wygląda! — śmieją się dzieci.

— Śliczny, kochany Bryś! — wołają i klepią go i obejmują za szyję.

Wtem...

Co mu się stało? — pytają zdziwione.

Bryś, spokojny i grzeczny pies, wyrwał się z ich objęcia tak gwałtownie, że o mało ich nie przewracał, spojrzal w stronę drogi, powietrze nozdrzami wciągnął i puścił się pędem po drodze, jak kula.

Pani Łacka, zaniepokojona, podniosła się z miejsca i, popatrzwszy w tę stronę, w którą Bryś pobiegł:

— Uciekajmy! — krzyknęła nagle, chwytając dzieci za ręce.

— To pewno pies wściekły tu biegnie. Bryś drogę sobą mu zagradza, aby nas ocalić, i gryzą się strasznie.

Bryś, walcząc z psem, oglądał się wciąż poza siebie. Gdy zobaczył, że przed domem państwa Łackich nikogo już niema, wyrwał się z pazurów psa wściekłego i poszedł, kulejąc i oblizując się, przez pole.

— Uciekajcie! z drogi! pies wściekły! — rozległy się za chwilę głosy wieśniaków. I chłopci z widłami i kijami podążyli za psem wściekłym.

Dzieci i pani Łacka patrzyli na to przez okno bladzi i wystraszeni.

— Biedny Bryś! Co z nim teraz będzie!

I on pewno wściekliczny dostanie, bo go tamten pies pogryzł — mówiły dzieci, płacząc.

Do późnego wieczora wyczekiwali wszyscy powrotu wiernego Brysia. Napróżno wyglądały go dzieci dnia następnego. Bryś nie powrócił.

Tymczasem czas upłynął, trzeba było wyjeżdżać. Z ogromnym smutkiem opuszczały dzieci wioskę, w której pozostawał ich towarzysz zabaw i przyjaciół, Bryś poczciwy.

Mama uprosiła starego Grzełę, aby Brysia odszukał i doniósł jej, co się z biednym psiskiem stało...

Dobry wieśniak obiecał to zrobić i przyrzeczenia dotrzymał. W parę tygodni potem nadszedł do państwa Łąckich list do Warszawy, w którym Grzeła doniósł, że Brysia widziano w sąsiedniej wiosce, jak chodził nad strugą, zioła jakieś pyszczkiem zrywał i jadł, ale co się z nim później stało i gdzie się podział — niewiadomo, bo do wioski, w której lato spędzili państwo Łąccy, dotychczas nie powrócił.



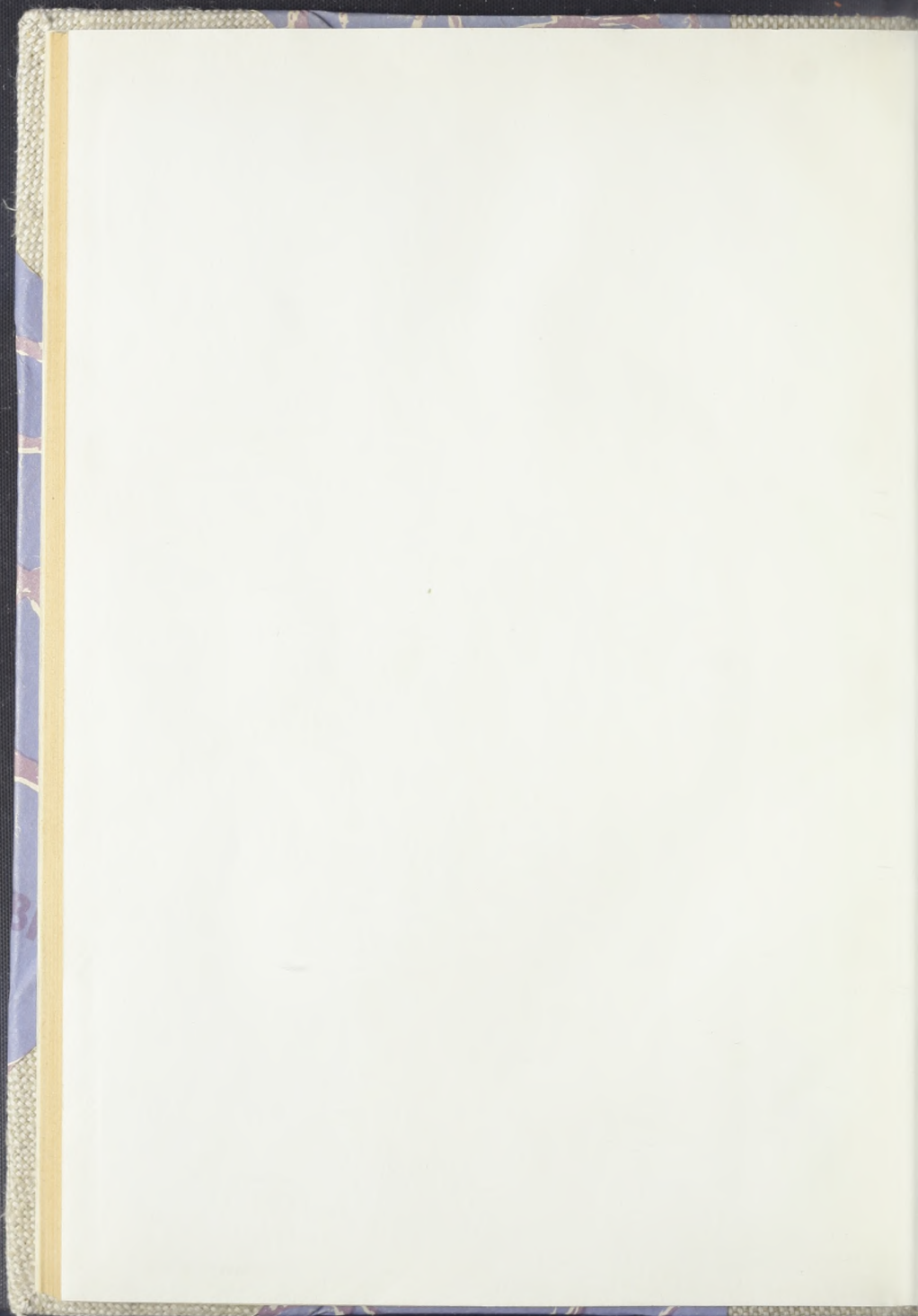
SPIS POWIASTEK.

	str.
Robinsonek albo przygody pięciu lalek	3
W czasie nocnej zawiei	27
Zbinio	33
Przygody języka	45
Dalsze przygody języka	51
Skowronek	59
Nad górskim strumieniem	63
Co się stało	69
Przyjaciółki	75
Krasnoludki	85
Mucha	95
Rodzeństwo	101
Na wiejskim cmentarzu	109
Jak Bryś odwdzieczył się swoim panom.	117



Antykn. Naub. T.K.
Poznan 15 x 8 1/2.





Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001020809087



1463001

BN

BN

BN

BN